ROCZNIK X. Grudzień 1906. Tom III. - Nr. 12.

Wiadomości Salezyańskie

Organ Związku Pomocników Salezyańskich.

Turyn - Via Cottolengo, 32

TREŚĆ:

NASZE ŻYCZENIA.

Wesołych Świąt życzymy Wam
U wielkich miast, u chatek bram!
I Wam, z salonów wygodnych, jasnych,
I Wam, z izdebek wilgotnych, ciasnych...
I Wam, co w trudzie pędzicie życie,
Wam, co za krajem srodze tęsknicie!
Wszystkim Wam ślemy szczere życzenia:
Niech Bóg w radości smutki przemienia!
Niech się rozjaśnią zbolałe czoła,
Gdy huczne Gloria zabrzmi dokoła.

Błogosław, Boże, wszystkim czynom szlachetnym, wszystkim zamiarom podniosłym, wszystkim uczuciom zacnym!–Gdy przy tradycyjnym opłatku ogniwami życzliwości wzajemnej splatać się będą i dłonie i duchy, do wigilijnego stołu wszystkich ludzi dobrej woli ślemy na kolendę serdeczne życzenia staropolskie, a więc z serca płynące i dla serc wszystkich wymowne: “ SZCZĘŚĆ BOŻE! „

U stołu wigilijnego.





Oto znowu zawitały święta... Z chwilą gdy pierwsza gwiazdka błyska na niebie, zbiera się rodzina. Nie brak nikogo z jej członków; nawet tych, co rok cały spędzają przy pracy daleko od domowego ogniska. Chyba tych brak, których śmierć wyrwała z objęć ich ukochanych.

I cichy i pogodny spokój rozlewa się wokoło, i słodycz jakaś przenika serca..... Ożywczo ona działa nawet na te serca, w których życie wyziębiło już dawno zaczarowane kwiecie wiary, nadziei i miłości... Z pod popiołów, pod którymi na pozór nic się nie kryje, z wybladłych wspomnień młodości, z pod szeregu przytłaczających wrażeń życia — gdzieś w zakątku serca budzi się gorętsza iskierka uczucia, jakiejś tęsknoty za prostotą wierzeń dziecięcych, za ciepłym uściskiem dłoni bratniej, za odrobinką prostego a wzruszającego szczęścia — za stołem wigilijnym.

I przeszły wieki i dziesiątki lat, a gwiazdka — to wielkie święto chrześcijańskiej rodziny — nie zatraciła swych wzniosłych cech i swej doniosłości. Czy w chatce ubogiej, czy pod dachem bogacza, jest ona zawsze tem, czem była: chwilą odpoczynku dla ducha, oazą wśród znojnej pustyni walk życiowych.

Z nią łączą się wspomnienia lat dziecinnych, wspomnienia ojczyzny — wyryte na całe życie, wspomnienia rodzinnego ogniska. Te wspomnienia zabiera człowiek ze sobą do grobu; a choćby mu przyszło kości złożyć na obcej ziemi, to do samej śmierci w dzień wigilijny myśl jego z serdecznością i tęsknotą biedz zawsze będzie het ku swoim, do kraju...

I łza kręci się w oku na myśl o tych, co nie zasiędą z nami do stołu wigilijnego, bo burza życiowa rzuciła ich w zbyt odległe krainy — ale myślą, myślą serdeczną a rzewną dążymy do wszystkich tych, co tę gwiazdkę na obczyźnie spędzać będą, i do tych, których ona w strapieniu zastanie! Niech minie ból jednych, niech powrót na łono ojczystej ziemi ziści marzenia drugich, — a wszyscy, którym te słowa do rąk wpadną, niech zasiędą do stołu wigilijnego z tym wewnętrznym spokojem i błogiem przekonaniem spełnionych obowiązków, jakich ludziom same nieba życzyły podniosłemi słowy:

Pokój ludziom dobrej woli!



PRZY ŻŁÓBKU.



Bóg się rodzi, moc truchleje... Truchlała — zła moc, ale nie zginęła. Coś z niej pozostało: pozostał pierwiastek zła, które nieustannie się rozwija, przybiera różne kształty a niekiedy, jak dzisiaj, wzrasta do rozmiarów zatrważających. Jak przed dwudziestu wiekami moce przewrotne pędziły Chrystusa na Golgotę i chciały w niewinnej krwi utopić imię i pamięć Sprawiedliwego, tak w obecnych czasach silą się, aby na świecie obalić świętą ideję Chrystusową. Wtedy Chrystusa z dziejów ludzkości nie wymazali, a i teraz opoki Piotrowej nie rozbiją bombami. Opoki nie rozbiją, ale robią tak wielkie wyłomy w ochronnym murze wiary świętej, szerzą takie spustoszenie w naszych szeregach, że pojąć nie mogę, jak tylu z nas może sprawę zasypiać, podczas gdy jak jeden mąż powinnibyśmy stanąć do pracy i walki.

Jednym z punktów najbardziej zagrożonych jest wychowanie młodzieży. Wróg postanowił zdobyć go za wszelką cenę i skierował ku niemu swoje najlepsze siły. A obrońców tak mało, tak mało przysposobionych. Więc nie dziw, że szkody wielkie i ogromne niebezpieczeństwo, że dajemy rozpaczliwe sygnały o pomoc i wołamy: ,,Ratujcie, ratujcie! Jeszcze czas, jeszcze nie wszystko stracone! Ale prędko, bo źle, bardzo źle!“

Ciekawe rzeczy czytałem niedawno w życiu apostoła młodzieży w 19^{tym} wieku, ks. Jana Bosko.

Spotykając po mieście gromadki młodych rękodzielników, pozdrawiał ich mile i nawiązywał rozmowę, pytając się skąd pochodzą, jaki zawód sobie obrali, czy dobrze zarabiają i t. d. Sympatya ich była już pozyskana. Wtedy posuwał się dalej i z właściwą sobie zręcznością pytał, czy pamiętają co z katechizmu, czy odprawili spowiedź wielkanocną, czy odmawiają modlitwy codzienne... Na ich śmiałe odpowiedzi z równą śmiałością naznaczał im na następną niedzielę miejsce schadzki w Oratoryum na Valdocco. I przychodzili.

Nieraz na błoniach ciągnących się około Turynu napotykał gromadki młodych uliczników. Przystawał wówczas i z uśmiechem na ustach przywoływał ich do siebie. Chłopcy zaciekawieni zbiegali się, a on ich sobie ujmował pytaniami: czy lubią hałasy, wesołość, zabawy — i zapraszał ich na niedzielne gry do Oratoryum.

Nawet po rynkach zaczepiał po swojemu młokosów grających zapalczywie w karty lub tombolę, mówiąc: ,,A mnie przypuścicie do gry? Kto z was najdzielniejszym graczem? Kto przegrywa? Ile stawiacie? Ja też stawiam!“ i rzucał grubszą monetę do centowych stawek i grał, śmiał się, a zarazem pytał, pouczał i zapraszał na najbliższą niedzielę do Oratoryum i . . . do spowiedzi.

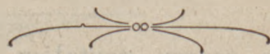
Na przedmieściu spostrzega raz w po-

bliżu kościoła sporą gromadę urwiszów. Korzystając z okazyi, wydobywa z kieszeni porządną paczkę karamelków i: „Chłopcy!“ woła, podnosząc tutkę do góry. „Dam to temu, który mnie dogoni.“ I rusza całym pędem. Dziatwa zrywa się i goni za nim, ile sił starczy, krzycząc na całe gardło. Dobiegłszy do kościoła, ks. Bosko zatrzymuje się na progu, daje znak, aby się uciszyli, wprowadza ich do kościoła i każe zająć ostatnie ławki. „Dam każdemu, ale wprzód posłuchajcie mnie... Powiedzcie mi, coby się stało z takim chłopcem, któryby umarł z ciężkim grzechem na sumieniu?... A jakże się można pozbyć grzechu?” Młodzi urwisze nie spuszczają z oczu tutki a pragnąc coś otrzymać, odpowiadają, jak mogą. Po krótkiej nauce odbywa się przed kościołem rozdanie łakoci i wszyscy obiecują być w niedzielę w Oratoryum.

Plac *Porta Palazzo* był w owych latach punktem zbornym wszystkiej młodej gawiedzi turyńskiej: kominiarczyków, sprzedawaczy gazet i zapałek, czyścicieli butów i t. p. Tam udawał się każdego rana ks. Bosko, znał każdego po nazwisku i imieniu, a od czasu do czasu fundował im kosze owoców. To też po pewnym czasie gdy się zjawiał na rynku, wszystko biegło ku niemu i witało go okrzykami radości. „Wiecie, com słyszał?“ „Co, co?“ krzyczeli chłopcy skacząc naokoło niego. Z ciekawości zbliżali i zatrzymywali się przechodnie, tworząc wokoło ks. Bosko wielkie zbiegowisko. On wskakiwał wtedy na kamień, kosz, lub stołek i tak porywająco umiał przemawiać, że wszyscy stali jak oczarowani, a gdy skończył, ludzie trącali się łokciami, szepcząc: „Ma słuszność. Tak! tak! na pierwszem miejscu należy starać się o zbawienie duszy.“ Niejeden też wysuwał się chyłkiem głęboko zamyślony. — Tak było aż do roku 1856.

Mój Boże! Żal mi się robi, gdy czytam te stronice. Jak mało się u nas na tem polu pracuje! Z tysięcy żyjących w dostatku i wygodach, kto pomyśli o biednem dziecku? Wielkie wojsko młodego zaniedbanego proletaryatu wytwarza się na placach, ulicach strychach...; staje się plagą, potęgą; zagraża bezpieczeństwu, wywraca porządek, poniewiera prawa i świętości; imię narodu pokrywa się cieniem, wiara zanika, wszystko się psuje — a my spokojni, obojętni, uśpieni...

W żłóbku leży biedna Dziecina Boska, patrzy na nas i płacze. Płacze na widok naszej gnuśności, naszego niedbalstwa, naszej obojętności względem młodzieży. Wrogowie Kościoła wszelkimi sposobami starają się pozyskać dla siebie młodzież, bo wiedzą, że raz ją pozyskawszy, z łatwością wydrą jej wiarę z serca i zabiją ducha..., a wielu z nas prawie wcale na to nie zważa. Widzi to jednak Boska Dziecina, wzrusza się losem nieszczęsnej dziatwy... i płacze. Czy wobec tego pozostaniemy i nadal bezczynni, zimni, nieczuli? — Od nas — i li tylko od nas zależy ukoić łzy Boskiego Dzieciątka i przemienić Jego smutek w radość. *Pamiętajmy, że cokolwiek uczynimy dla jednego z tych maluczkich, Pan Jezus będzie to uważał jako uczynione samemu Sobie!*





Z lazaretu trędowatych
W AGUA DE DIOS.

Otrzymaliśmy w urzędowem wydaniu broszurkę zawierającą *sprawozdanie*, które *jenerał Almador Gomez* i *dr. Paweł Garcina Medina* po oficyalnych oględzinach lazaretu w *Agua de Dios* w tym roku rządowi republiki kolumbijskiej przedłożyli. Praca ta, obejmująca 64 stronice druku, wchodzi w najdrobniejsze szczegóły urządzenia lazaretu i poddaje wszystko ścisłemu egzaminowi krytyki. Może nasi Czytelnicy zechcą przeczytać kilka ustępów, które się bezpośrednio odnoszą do pracy naszych współbraci.

Ogólny stan Lazaretu. — „Tyle razy obijały się o nasze uszy skargi na stosunki panujące w lazarecie, że zdumieliśmy się wielce, gdyśmy się bliżej zapoznali z życiem, jakie tam chorzy w rzeczywistości wiodą. Dzienne zapomogi rządowe (70 halerzy) bywają ze sumienną dokładnością wypłacane; chorzy mają potrzebną odzież; funkcjonarjusze pobierają odpowiednie wynagrodzenie; potrzeby najgwałtowniejsze, jak pomoc lekarska, bywają najpilniej opędzane; tak szpital, w którym chorzy mają wszelką opiekę, jak schroniska dla sierot obojga płci, mają urządzenie wzorowe; służba pocztowa i telegraficzna dobra; położenie chorych nadzwyczaj polepszone. Znikła dawna smętność i rozpacz; na twarzach trędowatych, niegdyś opuszczonych i unikanych, maluje się dzisiaj wyraz zadowolenia, którego doznaje chory na widok, że ktoś pilnie dba o jego potrzeby. Jeżeli się prócz tego weźmie pod uwagę ewangeliczną pracę księży Salezyanów i przykład oraz zaparcie Sióstr Miłosierdzia, to możemy pojąć, dlaczego w takiem *Agua de Dios* mogliśmy znaleźć ludność pod względem moralnym o wiele wyżej stojącą, niż w innych miejscowościach republiki..." (str. 7-8).

Schronisko męskie. — „Sieroty są pomieszczone w schronisku im. Ks. Unii i w ochronce Sióstr Miłosierdzia. Twórcą pierwszego jest nieodżałowanej pamięci *ks. Unia*, Salezyanin, pierwszy apostoł trędowatych w naszej republice. Onto rozpoczął budowę domu, który ukończył dopiero *ks. Alojzy Variara*, prawdziwy ojciec, prawdziwa matka 65 chłopców różnego wieku, dotkniętych nieuleczalną, okropną chorobą we wiośnie swego życia. Wspierany cenną pomocą



Dom, w którym do 20. października 1901 mieszkali Księża Salezyanie w Oświęcimiu.

księdza Emila Bainy, rozwinął nadzwyczaj pięknie w młodzieży poczucie moralności; zaprawił ich do pracy, która ich zajmuje, wspiera materyalnie i ratuje od zgubnych następstw próżniactwa; założył szkołę muzyki, stworzył orkiestrę i z rzadką starannością dba o wszystko, co im może materyalnie i moralnie osłodzić smutny los. — Piękny jest budynek schroniska, dwupiętrowy, trwały. Ponieważ oddaje wielkie usługi, chociaż jest nieukończony, polecamy usilnie Rządowi dalszą budowę tego gmachu..." (str. 23-24).

Szkoła. — „Szkołą męską kieruje bardzo umiejętnie młody *kleryk Egidjusz Sabio*, którego biegłość podagogiczna jest w lazarecie wysoko ceniona. Do tego ma charakter tak dalece przyjemny i wesoły, że jest w mieście osobą najwięcej przez dzieci lubianą. Z 118 chłopców

uczęszczających do szkoły, 33 malców jest zupełnie zdrowych. Chociaż nauczyciel w odpowiedni sposób oddziela ich od chorych, to jednak taka wspólność jest z wielu względów anormalnością, którą Rząd powinien jak najprędzej usunąć przez założenie specyalnego zakładu dla dzieci zdrowych...“ (str. 25).

Kościół. — ,,Lazaret w *Agua de Dios* wcale nie odpowiada opisom, które niepowołane osoby o nim rozszerzają. Domostwa są obszerne; okolica zdrowa, otoczona uroczymi pagórkami, gęstwinami leśnemi i wybujałą roślinnością. Przy obszernym placu środkowym widać wcale niezłe budowle. Na północnej linji placu wznosi się zgrabny kościół o dwóch nawach, o pięknej kopule i wielkim ołtarzu we wykwintnym guście nowoczesnym. Twórcą kościoła jest *ks. Rafał Crippa.* Obok stoi malownicza, ale bardzo skromna siedziba księży Salezyanów.....“ (str. 31-32).

Praca Salezyanów. — ,,Księża Salezyanie nietylko objęli duchowne kierownictwo i finansową administracyę lazaretu, ale dążą ustawicznie do tego, aby chorym jak najwięcej uprzyjemnić pobyt w szpitalu. Odbywają się zatem często przedstawienia, podczas których nieszczęśliwi zapominają o swej niedoli. *Ksiądz Emil Baina* jest dyrektorem sceny: on wybiera dramaty i komedyjki, on je poprawia, przepisuje, ćwiczy, próbuje i kieruje przedstawieniem.

,,*Ks. Ewazy Rabagliati* jest na tem polu niezmordowany. W naszych oczach zarządził skrojenie, uszycie i rozdanie nowego ubrania dla wszystkich **1230** chorych; w naszych oczach rozdawał przedmioty, które z polecenia niektórych chorych sam zakupił w Bogotá; w naszych oczach przewodniczył zabawom niedzielnym na placu, chwalił, zachęcał, rozdzielał nagrody. Dalej dla zabawienia chorych sprowadził grafofon, zamówił kinematograf i już obmyśla inne sposoby i ulgi.

,,Nieocenionymi jego towarzyszami są *ks. Rafał Crippa*, *ks. Alojzy Variara* i *kl. Egidjusz Sabio.* Pierwszy jest kapelanem trędowatych; od lat 14 nie zaznał chwili spoczynku i wytchnienia. Nie cofa się przed żadną trudnością, a czynny jest nietylko przez niewyczerpaną pracowitość, ale także przez świętość przykładnego, ascetycznego życia. — *Ks. Alojzy Variara* oddał się wychowaniu dzieci trędowatych: jego polem działania jest kaplica świąteczna i schronisko im. ks. Unii, gdzie wychowuje, kształci, pociesza, uczy pracy — i założył orkiestrę, będącą w życiu tutejszej ludności czynnikiem niezbędnym. — *Kleryk Sabio* też żyje wyłącznie dla dziatwy i rywalizuje z ks. Alojzym pod względem czułej troskliwości; najpiękniejsze lata swoje poświęcił nieszczęśliwym uczniom: zawsze go między nimi widać, w szkole, na rekreacyi, podczas zabawy. Uzupełnia tę grupę braciszek *Piantoni*, niestrudzony i bezinteresowny pracownik, uosobienie wierności i energji, przyjaciel serdeczny każdego trędowatego.

,,Praca Salezyanów była dotychczas niezmiernie obfita i płodna. Bez nich lazaret w *Agua de Dios* nie byłby wybrnął z przesileń, jakie przechodził; bez nich w pewnych smutnych dla ojczyzny naszej chwilach byliby chorzy poginęli z głodu; bez nich ludność tutejsza nie byłaby, jak już wyżej zaznaczyliśmy, przykładem moralności w całem tego słowa znaczeniu...“ (str. 33-36).



Po katastrofie w Chile.

Dopiero w październiku otrzymał Najprzew. ks. Jenerał Rua szczegółowe wiadomości o losach naszych zakładów chilijskich podczas pamiętnego trzęsienia ziemi w drugiej połowie sierpnia. Mamy za co Bogu dziękować, bo chociaż runęły zakłady w **Melipilla** i **Macul** (ostatni wzniesiony za 15000 *pesos);* chociaż ciężko uszkodzony został zakład w **Talca**; chociaż zwaliła się fasada kościoła naszego w **Santiago**, niszcząc sklepienia, ławki, figury i podłogę; chociaż w innych domach szkody były wielkie, przecież nigdzie *nie było ofiar w ludziach*, a zakład w **Valparaiso** nawet się nie popękał. Ksiądz Dominik Soldati tak maluje grozę zniszczenia miasta Valparaiso w liście z dnia 20. sierpnia.

,,Jeszcze żyjemy! Cudem żyjemy i opieką Maryi Wspomożycielki. Piszę pod wrażeniem kolosalnej katastrofy, więc nic dziwnego, że list mój będzie odbiciem zamieszania, które się wytworzyło na gruzach jednego z najpiękniejszych miast Ameryki.

,,Nigdy nie zapomnę dnia 16. sierpnia 1906. Kończyliśmy wieczerzę około ósmej godziny, gdy odczuliśmy wstrząśnienie. W pierwszej chwili nie przywiązywaliśmy do niego wagi, bo to u nas rzecz dość zwykła. Ale niebawem rozczarowaliśmy się strasznie. Swiatło elektryczne gaśnie, szyby wypadają, mury trzeszczą nad nami, jakaś tytaniczna siła szarpie nami i nieomal powala na ziemię. Przekonaliśmy się, że to trzęsienie nadzwyczajne.

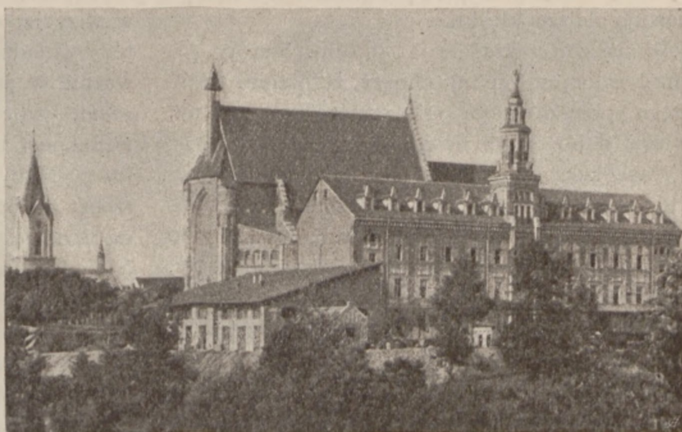
,,Wezwałem kilkakrotnie głośno Wspomożycielki Wiernych, bo zdawało mi się, że lada chwila zapadnie się gmach i pogrzebie naszych 240 wychowanków. Włosy mi stawały na głowie, gdym sobie przypomniał, że mieszkamy na szczycie pagórka wysoko ponad miastem. Tymczasem pomimo ciemności, jakoś opróżniliśmy w jednej chwili zakład bez najmniejszego wypadku i zebraliśmy się u stóp pięknej figury Najśw. Wspomożycielki na podwórzu.

,,Wtem nastąpiło drugie wstrząśnienie, jeszcze gwałtowniejsze. Nie mogliśmy ustać na nogach. Nasza młodzież zajękła przeraźliwie, a z miasta ścielącego się u stóp pagórka dochodził huk walących się domów i okropne krzyki przerażenia i rozpaczy. Trzęsienie ziemi minęło; Valparaiso leżało w gruzach.

,,Gdy ustał deszcz gwałtowny, który wśród wiatru, błyskawic i grzmotów towarzyszył katastrofie, spojrzeliśmy na dół na zburzone miasto. W czerwonawym blasku pożarów, które we wielu punktach równocześnie wybuchały, widać było niektóre szczegóły strasznego losu, któremu w jednej chwili uległa *rajska dolina* (tak tłumaczy się nazwę *Valparaiso*). Wkrótce potem całe miasto, od jednego końca do drugiego, stało w płomieniach.

,,Jeden z naszych księży poszedł zaraz zająć się duszami konających ofiar i wrócił dopiero po północy przerażony do najwyższego stopnia, *Valparaiso* przestało istnieć. Nad jego gruzami unosiło się przez całą noc morze płomieni, które oświecały wzburzone fale oceanu na dole, a w górze z drugiej strony nasz zakład trzypiętrowy, cały, nietknięty! Miasto paliło się przez cały następny dzień. Ani jeden dom nie był oszczędzony. Kościoły, teatry, magazyny, składy, szkoły albo w gruzach, albo w płomieniach. Ulice tak były zasypane rumowiskiem, drzewem, cegłami, że ucieczka była niemożliwą. Ludność obozowała na placach i pagórkach. Szkody oceniają na 4 o milionów *pesos*.

,,Przyjąłem do zakładu wiele sierot i rodzin, które popadły w ostatnią nędzę. Nie mogę podać ani w przybliżeniu liczby zabitych. Rannych jest bardzo wielu, a w dodatku wszystkie szpitale bardzo uszkodzone. Zapełniliśmy wszystkie sypialnie zakładowe chorymi. Także Bracia Szkół Chrześcijańskich są naszymi gośćmi. Z polecenia rządu rozdajemy codziennie żywność 10000 osobom.



Zakład Salezyański w Oświęcimiu w r. 1906.

,,Dziś przeszedłem się po gruzach, aby mieć pojęcie o rozmiarach zniszczenia. Jestto coś okropnego! Po czterech dniach miasto jeszcze się pali i ponawiają się słabsze wstrząśnienia. Po ulicach piętrzą się zwaliska. Na każdym kroku rozgrywają się zgrozą przejmujące sceny. Wszędzie spotkać można gromady osób zrozpaczonych, głodnych, nawpół obłąkanych.

,,*Valparaiso*, najważniejsze miasto Ameryki Południowej na wybrzeżu Oceanu Spokojnego, przeszło z gorączkowego ruchu i życia w stan bezwładności śmiertelnej i ciszy grobowej..."

W liście z 2. września pisze tenże ks. Soldati:

,,Już piętnaście dni minęło, a ziemia jeszcze drży i grozi. Ale umysły ochłonęły z przerażenia pierwszej chwili, objęły ogrom nieszczęścia,

uznały potrzebę jakiegoś ratunku choćby tymczasowego. Roboty są prowadzone bardzo energicznie. Po wszystkich ulicach powznoszono baraki z drzewa i blachy cynkowej, w których mieszka nawet wiele rodzin przywykłych do pysznych pałaców. Rozwinęła się także silna emigracya lądem i morzem. Przeszło 100,000 osób uciekło już przed głodem i srożącą się ospą. Obliczają, że 1500 trupów wydobytych z pod gruzów stanowi zaledwie czwartą część ofiar: ale zgniłe powietrze, opłakane warunki życiowe, deszcz, wilgoć, brak wody do picia i natłok ludzi w ciasnych, zanieczyszczonych barakach, zwiastują dalsze klęski.

,,W naszym zakładzie jak w ulu. Sieroty, rodziny bezdomne, biedni, chorzy, żołnierze: wszystkiego przeszło 800 osób, które ugaszczamy, żywimy, a po części nawet okrywamy.

,,Nasi księża i klerycy po obsłużeniu przygarniętego tłumu pracują w mieście przy odszukiwaniu zwłok. Roboty też trwają od rana do wieczora. Trzeba burzyć mury, usuwać cegły, przecinać i wynosić belki, robić wykopy w rumowisku, aby się w końcu dostać do trupa..... strasznego, gnijącego.

,,Dyrektor naszego zakładu w Santiago zabrał stąd z ulicy kilkadziesiąt sierot i pomieścił je po korytarzach, jadalniach i salach naukowych swego zakładu.''



Z DZIEJÓW MISYI

wśród ekwatorskich Kiwarosów.

Przyjęcie.

Skoro wieść o przybyciu ks. biskupa gruchnęła po dolinie, zawrzało w sadybach Indyan: kto żyw ruszał, by się przyjrzeć wielkiemu *Aparu Obispu* (ojcu biskupowi) i — co najważniejsza — wyłudzić od niego, co się da.

Szli więc dziarscy młodzianie w pełnej zbroi, z halabardą w ręku, z łukiem przewieszonym przez ramię, z kołczanem najeżonym strzałami: bogatsi mieli nawet staroświeckie, ciężkie muszkiety. Osoby nie okrył nikt, zato ciało było pomalowane jaskrawymi kolorami w fantastyczne kształty; szyję i piersi zdobiły cenne u nich wisiory z kostek, zębów, czaszek, skrzydeł, ogonów różnego ptactwa, a bujne kędziory, spływające falami na szerokie barki i poprzetykane piórami, dawały całej postawie wyraz marsowy i wcale estetyczny.

Za nimi postępował posępny orszak kobiet. One również prawie nagie, tylko zgrzebny szmat spadał im po kolana, ujęty na ramionach drzazgami a ściągnięty koło bioder łykiem. Wyraz twarzy u nich smutny, przygnębiony, a obwisła dolna warga, skaleczona odłamkiem bambusu, piętnowała te istoty jako nabyty prawnie na wyłączną własność towar. Parumiesięczne atoli wpływy misyonarza odniosły ten bodaj skutek, iż obecnie im także pozwolono wziąć udział w wizycie, a w małej części i w podarkach. Szły tedy obładowane, na co którą stać było, przeważnie w pewien rodzaj kosza, zwanego *cianginia*, wypełnionego juką, ciontą, suszonem lub wędzonem mięsiwem niedźwiedzi, małp, dzików i t. p. Miały to być niby dary gościnne, w samej rzeczy zaś były one przedmiotem grzecznego targu na zasadzie: *do, ut des*, daję, abyś i ty nie poskąpił. Niejedna, za którą służba to wszystko niosła, obarczyła się jedynie swem potomstwem. Trzech lub czterech malców, nagich kompletnie, ustawiła w koszu zarzuconym na plecy, jedno dziecko trzymała na ręce przy piersi, wiodąc najdoroślejsze przy boku za rękę. Wcale charakterystycznie odbijały te osmolone, pyzate twarzyczki o czarnych, szeroko rozwartych oczętach, od kosmatej głowy ich matki.

Na miejscu otoczyli półkolem chatę zajętą przez biskupa, powitali jego osobę dzikim okrzykiem i przez chwilę słuchali jego słów, które im zaraz O. Franciszek powtarzał powoli i dobitnie po kiwarosku. Wnet atoli oczy ich poczęły niecierpliwie szukać tego, co ich w odwiedzinach najwięcej interesowało. Łatwo to było dostrzedz: wnet też ks. biskup kazał odbić skrzynie z niewielkim wprawdzie zapasem. Wszczął się ścisk — i kto miał silniejsze łokcie, stawał w pierwszym rzędzie.

Zaczęto od dzieci. Ks. biskup własnoręcznie nakładał każdemu koszulinę. Malec zrazu poddawał się tej operacyi, oszołomiony i prawie bezprzytomny. Skoro atoli zobaczył, że wszyscy go podziwiają, a zarazem uczuł jakieś pęta na ramionach, nuż się szamotać, krzyczeć i tak długo się rzucać, dopóki tego niezwykłego jarzma z siebie nie zrzucił, a potem jednym skokiem był u nóg matki, skomląc i oglądając się z ukosa na biskupa. Smiali się zrazu wszyscy, matka zaś zmusiła dzieciaka groźbami do przywdziania koszuli i sadzała napowrót do kosza. Lecz już za progiem

każdy dzieciak ciskał to do nóg i kontent z siebie, patrzał ze swych wyżyn przez nieostygłe łzy, nie gorzej od bohatera bajki. Możeby mu pozazdrościł tryumfu niejeden przyjaciel natury we wychowaniu dzieci, lecz ta jedynie byłaby pomiędzy nimi różnica, że ten potomek puszczy nie ma pojęcia o odwiecznych zasadach przyzwoitości i o estetyce, wykwicie cywilizacyi.

Podczas gdy biskup i inni misjonarze zajęci byli dogadzaniem łapczywości Indyan, wychyliło się z lasu trzech mężczyzn i przez kwiecistą równinę zdążali wprost do mieszkania misyonarzy. Był to *kepleni* (kapitan) *Kajapa* w towarzystwie swego brata Joachima i Dominga *Tujaza*. Skoro się zbliżył i ujrzał w oknie biskupa, zawołał głosem, który zupełnie odpowiadał jego postawie i krokom marsowym: ,,Aparu obispo! Jak się masz? Przychodzę z wizytą do ciebie i chcę luster, chcę nici, chcę noża, chcę siekiery, chcę strzelby, chcę wszystkiego.'' Ks. biskup dał mu znać, by wstąpił, na co kapitan odpowiedział ceremonialnym uśmiechem, zgrabnym ukłonem i wszedł. Wszyscy rozstąpili się, a on wprost sunął się do biskupa.

Był to mężczyzna w sile i kwiecie wieku, rosły, o piersi wystającej, silnie zbudowany. Potężne łydy, niezakryte w zupełności długiem zresztą *itipi*, były jak u bronzowych posągów; nogi krótkie, silne, kończyły regularne stopy, płaskie od ciągłego ćwiczenia w marszu. Pod szerokiemi plecami miał krzyż nieco przygięty; na kształtnej szyji osadzona była regularnie zbudowana głowa o typowych i wyraźnych rysach twarzy. Wyraz jej męski, odbijający szlachetne uczucia; usta nieco wielkie, skłonne do śmiechu; nos regularny i świecące oczy, czarne, jak włosy, które wyczesane, obcięte nad czołem, z dwu stron spadały kędziorami na szyję i barki.

Tujaza był nieco starszy, niższy i mniej krępy od niego, ale zato otyłością przewyższał zwierzchnika. W czarnych jego oczach błyszczała złowroga iskra, która łatwo mogła się rozżarzyć i ciskać błyskawice.

Najmłodszy, prawie dziecinny jeszcze, był brat *Kajapy*, Joachim. *(Ciąg dalszy nastąpi).*

Misyonarze wygnańcy.

Obrazek z czasów prześladowania zgromadzeń zakonnych w rzeczypospolitej ekwatorskiej.

(Ciąg dalszy).

Rozdział XII.

Nowicjat w Sangolquì. — Napad. — Ostatnia Komunia św. — Trzeba ustąpić.

Sangolquì! Jest to wioska oddalona jakie 15 kilometrów od Quito, maleńka, lecz jakże



Przełożeni i wychowankowie zakładu oświęcimskiego w lutym 1901 r.

pięknie położona! Podarowano tu naszym współbraciom piękny kawałek ziemi i był to w Ekwatorze pierwszy pewny przytułek, w którym nie byli od nikogo zależni. Inni pomocnicy dopomogli pieniężnie i tak można było rozpocząć i ukończyć w krótkim czasie budowę zakładu. Nie było to nic wielkiego, ale podówczas wystarczało najzupełniej. Przeniesiono tam nowicjat, a nadto otwarto kilka klas gimnazjalnych dla chłopców pragnących się poświęcić stanowi duchownemu. Wszystko było w porządku: klerycy i wychowankowie kształcili się i rozwijali jak najpomyślniej, gdy nagle i tam dotarła groza rewolucji.

Wybiła właśnie północ, gdy oddział żołnierzy zapukał do bramy zakładu. Przyjęto ich gościnnie w mniemaniu, iż w przemarszu pragną się przespać do rana. Lecz jakież było przerażenie księży, gdy cały oddział wtargnął

hałaśliwie do zakładu, a dwóch żołnierzy stanęło z karabinami przy drzwiach dyrekcji!

— Przyjaciele, pyta jeden z księży, co to ma znaczyć?

— Mamy rozkaz poprowadzenia was do Quito.

— O tej porze? Czyby nie można zaczekać do jutra? Panowie przecież widzicie, że to zakład. My nie możemy opuszczać młodzieży.

— O to się księża nie potrzebujecie troszczyć. Kto inny zastąpi was doskonale.

— Bardzo dziękuję! Ale jeśli wolno, prosiłbym panów o pokazanie piśmiennego rozkazu; dotychczas nie wiem, z kim mam do czynienia, odrzekł dyrektor. Jeżeli panowie mówicie na serjo, to ten nocny napad na spokojnych obywateli ma wszelkie pozory gwałtu.

— Nie cofnę się przed gwałtem, jeżeli księża mnie do tego zmusicie, odgrażał się dowódca, który się zareprezentował jako pułkownik.

— To już tak źle z nami?

— Macie kwadrans czasu, a z tego upłynęło już ośm minut.

— A to chodźmy! Będzie to przechadzka pod osłoną nocy; nie wiem tylko, czy przyjemna.

Zwołano zaraz do kaplicy młodzież, która już była pobudzona. O Mszy św. nie było co myśleć, bo nie było czasu. Obaj księża wyspowiadali się nawzajem, nie wiedząc, jaki los ich czeka. Młodzież przypatrywała im się w milczeniu. Była to scena przypominająca katakomby. Wreszcie przełożony zwrócił się do chłopców, trzymając puszkę z komunikantami i rzekł rozrzewniony: „Kochane dzieci! Odrywają nas od tego zakładu i od was. Ale nie traćcie otuchy! Przestrzegajcie nadal reguły świętej i módlcie się za nas! Niech P. Jezus utajony w Przenajśw. Sakramencie będzie zadatkiem waszego pokoju i wytrwania.“ Następnie z pogodą prawdziwie anielską wykomunikował wszystkich, spożył resztę komunikantów i zatopił się w modlitwie. Młodzież stała z pochylonemi głowami naokoło przełożonych, zapłakana i przerażona ich losem.

Ale czas szybko uchodził i żołnierze zniecierpliwieni coraz to głośniej tłukli kolbami o podłogę i coraz to częściej wołali: „Prędzej! prędzej! Dość tego płaczu!“ Minęło jeszcze kilka chwil nieopisanego wzruszenia, gdy wreszcie pułkownik, chcąc czemprędzej uprowadzić swoje ofiary, krzyknął szorstko: „Dosyć mi tego! Księża pójdą ze mną, rozmówią się z władzami i za godzinę będą z powrotem.“

Nikt — a najmniej sam pułkownik — nie wierzył w tę obietnicę. Nie było jednak innej rady i trzeba się było poddać. Dwóch żołnierzy stanęło przy bramie, aby nie wypuszczać kleryków i wychowanków; reszta zaś otoczywszy obu księży, wywiodła ich na ulicę, gdzie już stały przygotowane dla nich muły. Jeszcze jedno ostatnie smutne wejrzenie na ukochane mury, gdzie tyle niewinnych serc pozostało bez opieki, a potem szepcząc poranną modlitwę, wyruszyli, nie wiedząc dokąd i za co.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z NASZEGO SKARBCA

czyli odpusty, jakie Pomocnicy Salezyańscy zyskać mogą w miesiącu grudniu.

Pomocnicy Salezyańscy, którzy wyspowiadawszy się i przyjąwszy Komunię św. nawiedzą nabożnie jaki kościół lub kaplicę publiczną i tam na intencyę Ojca św. się pomodlą, zyskać mogą w miesiącu grudniu następujące odpusty;

A. — *Zupełne:*

a) W uroczystość Niepokalanego Poczęcia N. P. M. (8. grudnia).

b) » » Bożego Narodzenia (25. grudnia).

c) W dzień, w którym się wpiszą do Związku Pomocników.

d) Raz w miesiąc w dniu przez każdego dowolnie obranym.

e) » » w dniu, w którym odprawią ćwiczenie t. z. dobrej śmierci.

f) W dniu, w którym się po raz pierwszy poświęcą Najśw. Sercu Jezusowemu.

g) Ilekroć przez ośm dni z rzędu odprawią rekollekcye.

h) W godzinę śmierci, jeśli wyspowiadawszy się i przyjąwszy Komunię św., lub co najmniej wzbudziwszy akt skruchy, ustnie lub przynajmniej sercem wezwą nabożnie Najśw. Imienia Jezus.

B. — *Odpusty Stacyjne:*

Pomocnicy, zwiedzając jakikolwiek kościół lub kaplicę publiczną i modląc się tamże na intencyę Ojca św., zyskać mogą:

a) W I, II i IV niedzielę Adwentu: *odpust 10 lat i tyluż kwadragen.*

b) W III niedzielę Adwentu: *odpust 15 lat i tyluż kwadragen.*

c) W suche dni adwentowe: *odpust 10 lat i tyluż kwadragen.*

d) W wigilię Bożego Narodzenia i w nocy podczas pasterki: *odpust 15 lat i tyluż kwadragen.*

e) W Boże Narodzenie, wyspowiadawszy się i przyjąwszy Komunię św.: *odpust zupełny.*

f) W dzień św. Szczepana (26. grudnia); św. Jana Apostoła i Ewangelisty (27 grudnia); w dzień św. Młodzieniaszków (28 grudnia): *odpust 30 lat i tyluż kwadragen.*

D. — *Przywileje:*

a) Wszystkie Msze św., które jakikolwiek kapłan odprawi za zmarłych Pomocników, są zawsze i wszędzie uprzywilejowane.

b) Pomocnicy, którzy są kapłanami, mogą *w trzy dni* każdego tygodnia korzystać z indultu ołtarza uprzywilejowanego osobistego, jeżeli nie uzyskali jeszcze podobnego indultu na inny dzień tygodnia.

E. — *Indulty:*

a) Pomocnicy chorzy lub rekonwalescenci, którzy nie mogą wygodnie wychodzić z domu,



Przełożeni i wychowankowie zakładu oświęcimskiego we wrześniu 1906.

dostępują wyżej podanych odpustów, jeżeli zamiast zwiedzenia kościoła zmówią pięć *Ojcze nasz*, *Zdrowaś* i *Chwała Ojcu.*

b) Pomocnicy żyjący w seminaryach, kollegiach i innych Zgromadzeniach, mogą dostąpić wszystkich odpustów nadanych Związkowi Pomocników, jeżeli wypełnią inne warunki i zwiedzą swój kościół, lub w braku tegoż, prywatną kaplicę swego domu.

C. — *Odpusty Cząstkowe:*

a) Ilekroć odnowią poświęcenie siebie samych Najśw. Sercu Jezusowemu: *odpust siedmiu lat i tyluż kwadragen.*

b) Ilekroć uczyć będą bliźnich służyć do Mszy św.: *odpust siedmiu lat i tyluż kwadragen.*

c) Ilekroć wzbudziwszy w sobie conajmniej serdeczny akt żalu, spełnią jaką praktykę nabożną lub jaki uczynek miłosierny: *odpust 300 dni.*

d) Ilekroć z sercem conajmniej skruszonem wymówią akt strzelisty: *Maryo, Wspomożenie Wiernych, módl się za nami: odpust 300 dni.*

Wszystkie powyższe odpusty, z wyjątkiem odpustu zupełnego w godzinę śmierci, można ofiarować za dusze w czyśću cierpiące.

Uwaga. — Aby z tych skarbów duchownych korzystać, trzeba należeć do Związku Pomocników Salezyańskich i odmawiać codziennie na intencyę Ojca św. *Ojcze Nasz, Zdrowaś, Chwała Ojcu* i wezwanie: *Święty Franciszku Salezy, módl się za nami!.*

MISYE SALEZYAŃSKIE

Kraju drogi, wiatry twoje
Jakże lubo chłodzą skroń!
Jakże miło szemrzą zdroje,
Jak ożywia plonów woń!
Jakże miło w drzew twych cieniu
O twych losach marzyć, śnić!
Nawet w smutnem położeniu
Serce raźniej musi bić.

Tak może westchnąć każdy, kto ma swoją ojczyznę, wielką czy skromną, szczęśliwą czy pognębioną, — byle uszlachetnioną religią i cywilizacyą chrześcijańską. Jakżeż gorzką atoli musi być dola tych, których ojczyzną są dzikie knieje lub spiekłe puszcze, których towarzystwem zwierz leśny, nabożeństwem zbrodnicze zabobony?!

Musi być rzeczą okropną żyć na ziemi bez celu, a umierać bez nadziei! To też nie dziw, iż pod wrażeniem tej myśli tysiące szlachetnych serc — mężczyzn czy niewiast — zerwało najdroższe związki, by ulżyć doli tych nieszczęśliwców.

Tysiące!... ale cóż, kiedy tysiące, miliony chrześcijan, wykarmionych miłością Chrystusa, stoją obojętni wobec tego faktu, nie zachęcą nawet misyonarza słowem, ani wesprzą modlitwą. Jego prośby o pomoc gniją pod stosami dzienników i romansów.

Kościół, zgromadzenie wiernych z ich pasterzami, są wykonawcami testamentu Jezusa Chrystusa: „Idąc na wszystek świat, opowiadajcie Ewangelię wszemu stworzeniu (Mar. XVI, 15)."

Jak my się zachowujemy względem tych słów naszego Zbawiciela? Ostatnie rozporządzenie zmarłej osoby spełniamy z czcią religijną; tu Zbawiciel wypowiada, co mu najbardziej leżało na sercu w chwili, gdy opuszczał tę ziemię. Byłoby bardzo smutno z naszem nabożeństwem, gdybyśmy zostali nieczułymi dla ostatniej woli Najmiłościwszego Serca Jezusowego i odepchnęli od siebie Jego testament: „Idźcie na wszystek świat..." Kto może, niech idzie; kto nie może, niech innym iść pomaga — radą, jałmużną, modlitwą. „Ut multos ac bonos operarios in messem tuam mittere digneris, Te rogamus audi nos!" Abyś licznych i gorliwych pracowników do żniwa Twego posłać raczył — Ciebie prosimy, wysłuchaj nas Panie!



STACJA MISYJNA
Najsłodszego Serca Jezusowego w Matto Grosso.

Ta ważna placówka naszych misji Południowej Ameryki musi już być poniekąd znaną naszym Szanownym Czytelnikom z licznych listów jej kierownika, zacnego ks. Balzoli, ogłaszanych w poszczególnych numerach naszego pisemka. Powinna ona wzbudzać interes choćby z tego tylko powodu, iż jest położona w samym środku Matto Grosso, niezmierzonego obszaru lasów i puszcz zajmujących przestrzeń większą niż cała nasza Polska. Tu, odcięty zupełnie od reszty świata, osiadł z garstką współbraci gorliwy nasz misjonarz, wyż wzmiankowany ks. Balzola. Ks. Generał naszego Zgromadzenia zezwalając mu udać się w to niebezpieczne miejsce, był w wielkiej obawie, iż wyprawa zakończy się jaką katastrofą; to też radość jego była niezmierna, gdy pewnego dnia mógł w przemowie na dobranoc oznajmić nam wesołą nowinę, iż ks.

Balzola nie tylko stanął szczęśliwie u celu swojej wyprawy, ale nadto nawiązał dobre stosunki z dzikimi Bororosami (1), jak się zowie szczep koczujący w pobliżu i naokoło tej osady.

Wielkie były ofiary, jakim musieli się poddać nasi misjonarze w pierwszych sześciu miesiącach. Przez czterdzieści dni musieli szukać schronienia pod lichymi namiotami, podczas gdy braciszek Minguzzi, stolarz, przy pomocy reszty współbraci wszystkich dokładał sił, aby ze świeżo spuszczonych drzew wystawić jakowąś chatkę. Nadto przywiezione zapasy żywności nikły z dnia na dzień, a nie wracali ci, których wysłano zawczasu po inne. Trzeba było zmniejszać porcye: bracia nasi cierpieli prawdziwy głód, co w połączeniu z porą deszczową stało się powodem, że słabsi się pochorowali. I tak koadjutor Stefan Grosso ma dotąd jeszcze w lewem uchu znak strasznego wrzodu; inni dostali rany na głowie, sami nie wiedząc jakim sposobem. Lecz P. Bóg zesłał swą pomoc właśnie wówczas, kiedy jej najbardziej było potrzeba.

Po niebezpieczeństwie głodu nastąpiła zaraźliwa choroba, która dziesiątkowała Indyan; wdarła się nawet do domu misyjnego i wpędziła do grobu jednego pracownika.

Teraz, dzięki P. Bogu, rzeczy przedstawiają się już o wiele lepiej. Niema już obawy przed głodem, bo z użyznionej swym potem roli misyonarze zbierają rokrocznie tyle plonu, ile wystarcza na ich wyżywienie, a nadto mogą dostarczać zasiewu Indyanom, którzy za przykładem i wskazówkami misyonarzy nauczyli się już uprawiać rolę.

Oto jak ks. Malan, inspektor (prowincyał) na Matto Grosso, w liście do Najprzewielebniejszego ks. Rua, Generała Zgromadzenia, opisuje obecny stan tamtejszych Indyan.

Najprzewielebniejszy ks. Rua!

Poruciwszy komu innemu opis naszej podróży z Cuyabá do naszych osad misyjnych, pozostaje mi tylko powiedzieć coś o obecnym stanie tutejszych Indyan.

Przeprawa przez Barreiro. — Przyjęcie z kapelą. — Pierwsza komunia św. — Obserwatoryum Antoniego Paes de Barros.

Krótko po południu dnia 23. marca b. r. dotarliśmy do brzegów *Barreiro*, którego przebycie stało się wskutek ulewnych deszczy bardzo uciążliwem. Atoli przezorny ks. Balzola kazał już poprzednio zgotować Indyanom czółno z kory *burity*, na którem Indyanie przewieźli — a raczej przewlekli nas po dwóch na drugi brzeg rzeki. Uczuli przy tej przeprawie niepowszednią drżączkę ci, którzy po raz pierwszy wsiadali do takiej gondoli kroju *liberty*. W taki sam sposób przewieziono nasze pakunki. Zwierzęta zaś przeszły częścią wpław, częścią po wywaliskach wodospadu, który onegdaj jeźdźcowi pocztowemu powalił i porwał silnego muła. Dzięki P. Bogu miniaturowy

---

(1) Indjanie *Bororosowie* stanowią odłam wielkiego plemienia *Koroadosów* i nazywają się tak dlatego, że zdobią swe głowy długimi pióropuszami. Zajmują sam środek puszcz *Matto Grosso*. Od czasów odkrycia *Matto Grosso Koroadosowie* i *Bororosowie* byli zawsze postrachem śmiałych badaczy gęstwin leśnych. Groźną była liczba ich dzikich wojowników, przerażającą ich skłonność do zemsty i zdrady. Nawet rząd był wobec nich bezsilny. W gąszczach ich siedzib ginęły od strzał i toporów całe pułki regularnego wojska. Po tylu wyprawach *Bororosowie* do dziś dnia istnieją i czują się silnymi nawet wobec szabel i karabinów repetujących. — Plemię to nie ma jednolitej organizacji politycznej. Nieraz w jednej wiosce jest kilku przywódców, którzy dochodzą do władzy nie dziedzicznie, ale przez męstwo i odwagę na polowaniu i wojnie. Pod względem religijnym ulegają zupełnie czarnoksiężnikom *bari*, którzy się znoszą bezpośrednio z bóstwami. Wierzą w istnienie najwyższej istoty, czyli dobrego ducha *Marebba*. Zamieszkuje on *piąte niebo*; ma matkę, ale nie ma ojca; zrodził jednakże równego sobie syna. W *niższych niebach* mieszkają duchy złe, które ulegają bóstwu *Bope*, zawziętemu wrogowi Bororosów. — Pomimo poważnych studjów, nie wyświetlono jeszcze dostatecznie kwestji pochodzenia tego głośnego szczepu; zdaje się atoli, że niegdyś należeli do wielkiego narodu *Guarani* albo *Tupi*, który podobno miał wysoką cywilizację.

(Dopisek Redakcji).

ten *Acheront* został przebyty bez żadnego wypadku.

Po dwukilometrowym marszu ujrzeliśmy, na wyniosłości oddalonej o jakie 900 m. od osady, gromadę Indyan z dziećmi; na ich czele początkująca kapela, złożona z samych tubylców, dęła marsza powitalnego co piersi stało.

Dziwna to zaiste rzecz słyszeć w tych okolicach brzmienia muzyczne i to od tychże samych dzikusów, co przed czterema laty byli postrachem owych puszcz. Harmonijne, w dziewiczej puszczy rozpływające się tony, wzruszyły mnie do głębi serca: rozpłakałem się, a ze mną rozpłakali się niektórzy towarzysze podróży.

Było to zupełnie naturalnem; komu bowiem leży na sercu postęp tego niepoślednio uzdolnionego szczepu, godnego innej doli, temu chwila ta wydała się uroczystą: one wyćwiczone brzmienia klarnetów wydawały mi się głosem cywilizacyi wkraczającej zwycięsko w nieprzebyte dotąd a licznymi szczepami zaludnione bory.

Przyłączywszy się do tego malowniczego orszaku, zapuściliśmy się w sam środek osady, gdzie powitała nas druga, nie mniej przybyciem naszem uradowana gromada Indyan.

Chwała Bogu! Osada Najśw. Serca znajduje się w stałym rozwoju. Widocznie Najśw. Serce Jezusa, od którego bierze nazwę, nie przestaje się nią opiekować.

W ciągu tej ostatniej wizytacyi miałem sposobność udzielenia jednym sakramentu chrztu św., innym pokuty i komunii św. Ten sam P. Jezus, do którego należą wszystkie ludy, który jest Zbawcą wszystkich narodów i zaczyna wprowadzać na łono Kościoła i cywilizacyi te sponiewierane plemiona, dziś po raz pierwszy wstąpił do serca sześciu nowonawróconych Indyan. Niepodobna mi opisać bezmiernej radości, jakiej doznałem udzielając tym sześciu neofitom pierwszej komunii św., tej Światłości ojcowskiej, która, wnikając do duszy naszej, ożywia, oświeca i uświęca nas. Sam to sobie najlepiej wyobrazisz, najukochańszy Ojcze; a wiem, że serce Twoje podobna radość ogarnia, czytając tak pocieszające wieści. Załączam fotografie (niestety słabo udane) neofitów i kapeli (*).

Jeszcze inną, nie mniej pocieszającą nowiną mogę się z Tobą podzielić, którą bezwątpienia i uczeni powitają z radością; zainaugurowaliśmy nowe obserwatoryum meteorologiczne, nazwane *Antonio Pacs de Barros*. Zostało ono wzniesione na usilne nalegania różnych centrów meteorologicznych oraz rządu samego, jak Ci to, przewielebny Ojcze, pisałem w innym liście.

Nowe obserwatoryum jest II. klasy, a należy do tego samego gatunku, jakie utrzymujemy w Cuyabá, które w ciągu siedmioletniego swojego istnienia oddało niepomierne usługi wiedzy, ogłaszając swoje spostrzeżenia w dodatku naszego przeglądu *Matto Grosso*.

Szczególniejszego znaczenia nabiera ono stąd, iż jest położone w zonie innej wręcz temperatury niż stolica kraju, od której jest oddalone 500 klm., a jest wzniesione znacznie wyżej i na innym — północnym — krańcu ziem brazylijskich.

Osada Niepokalanego Poczęcia. — Pierwsze trudy. — Dwoje dzieci ochrzczonych. — Wesoła przyszłość.

Zwiedziłem tę osadę dziewięć miesięcy po jej założeniu i z podziwieniem mogłem stwierdzić, iż jeżeli Opatrzność Boża okazała się szczodrą względem osady Najświętszego Serca, to szczodrzejszą stała się dla tego nowego źródła cywilizacyi, które się podnosi zwolna pod najszczytniejszem wezwaniem Bogarodzicy: Niepokalanego Poczęcia.

Istotnie przy tak szczupłych siłach, posługując się kilku tylko Indyanami, gdyż okoliczności nie dozwalają przyjmować wielu naraz, wzniesiono w tych dziewięciu miesiącach tym-

---

(*) Podobiznę owych fotografii zamieściliśmy w poprzednim numerze na str. 245-247-253 (Przypisek Red.).

czasowe chatki, które muszą wystarczyć aż do czasu, gdy się będzie mogło wystawić przestronniejsze i wygodniejsze *ranchos;* nadto obrobiono piękny kawał gruntu pod żyto, ryż, fasole i mandiokę, posadzono drzewka owocowe, zaczęto prace około uprawy konopi, kawy, wina, oraz poprowadzono kanał do nawodnienia roli, jako też do poruszania małego młyna, przędzalni i piły.

Jest nadzieja, iż płody ziemi i wyroby przemysłu w połączeniu z zapomogami ze strony naszych dobroczyńców (nietylko wielkich, co rozporządzają wielkiemi sumami, ale każdego, co jest w możności przysłać nam jaki drobny datek) jest nadzieja, powiadam, iż ofiarność ta i owoce ziemi wystarczą już w tym roku, by utrzymać i pokierować do życia cywilizowanego sporą liczbę Indyan.

Tymczasem i tutaj miałem to szczęście ochrzcić 11 neofitów, tych z pomiędzy 53 umieszczonych w osadzie, co lepiej od drugich przygotowali się do przyjęcia tego sakramentu. Są to ni mniej ni więcej jak głośni sprawcy wstrząsających okrucieństw zaszłych pięć lat temu na brzegach *Araguayu.* Usposobienie, jakie okazali podczas przyjęcia sakramentu odrodzenia, świadczy najlepiej, ile może wiara i łaska boska nawet w sercach tych dzikich. Przed dziewięciu miesiącami żyli jak zwierzęta, teraz naginają się do naszych zwyczajów, żądni należeć do rodziny chrześcijańskiej.



Z Misyi Ks. St. Cynalewskiego.
Typy Indyan zamieszkujących *Chaco* argentyńskie.



Z Misyi Ks. St. Cynalewskiego.
Okaz ułaskawionych lwów patagońskich.

Mogłem również być kilka razy świadkiem zabawnej sceny, gdy żaczkowie szkolni powtarzają sobie z budującą powagą wykłady słyszane w szkole. W taki to sposób zakładają się podwaliny wielkiego gmachu chrześcijaństwa i cywilizacyi i (toruje się) drogę do prawdziwego postępu.

Ale jakżeby się tutaj przydało z 20 lub 30 tysięcy złotych, by wznieść kapliczkę nieco przystojniejszą od tej, którą teraz rozporządzamy, ażeby módz godniej uczcić Pana naszego także na zewnątrz, wiedząc, jak to do-

datnio wpływa na każdy umysł, a cóż dopiero na tych dzikusów o pojęciach czysto materyalnych.

Jest to rzeczywiście prawdą, iż wrażenia zmysłowe łatwiej wnikają do duszy, niż najdobitniejsze wykłady i ćwiczenia umysłowe. W osadzie Najśw. Serca misyonarze nasi wykładają katechizm, posługując się bogatemi ilustracyami streszczającemi dzieła boże od stworzenia świata aż do naszych dni. Temiż samemi posługują się na wykładach Ewangelji w niedziele i święta. A widzieliśmy, jak te prawdy, w ten sposób zaszczepione do serca, głęboko się w niem zakorzeniają i jak pocieszające wydawają owoce.

Za chlebem. — Reprezentant szczepu.

Najdroższy Ojcze, bądź łaskaw powtórzyć naszym szlachetnym dobroczyńcom, przyjaciołom i Pomocnikom salezyańskim, iż nasze osady misyjne są prawie zupełnie pozbawione środków utrzymania i że pod koniec tego miesiąca ruszę w podróż przez ocean, aby zebrać nieco ofiar. Zabiorę też z sobą małego trzynastoletniego Bororosa, syna naczelnika czyli kacyka, owszem najpierwszego z kacyków.

Poczciwy ten chłopczyna, który mi był zawsze przewodnikiem przez bory *Matto Grosso*, będzie mi też towarzyszył po ludnych miastach wykwintnej Europy, która, jestem o tem mocno przekonany, zechce w nim wesprzeć całe jedno nieszczęśliwe plemię, którego jest przedstawicielem (1).

Postanowiłem podjąć się tej podróży, aby Cię, drogi Ojcze, ustnie przekonać o konieczności zwiększenia personału po tutejszych domach misyjnych; zamierzam także zakupić różne narzędzia rolnicze i rękodzielnicze, a ponadto bielizny i ubiorów dla Indyan, kilkaset kołdr, oraz rozmaitych błyskotek i upominków dla nich.

Tak tedy gdy P. Bóg pozwoli wrócić, będę mógł popchnąć do większego rozwoju osady już istniejące i zakładać inne, które teraz, kiedyśmy już lepiej poznali ziemie i ludzi, nie będą nam stawiały takich trudności, z jakiemi musieliśmy walczyć na początku.

Wyniki osiągnięte zapomocą istniejących osad zrobiły bardzo dodatnie wrażenie w całem państwie, tak iż odbieramy liczne zachęty do zakładania nowych stacyi misyjnych w północnej i południowej części *Matto Grosso*.

Z naszej strony nie brak ni dobrej woli, ni ufności w pomoc bożą dla tej zbożnej sprawy; chcielibyśmy posiadać jeszcze raz tyle energji, aby módz zagarnąć dla religji i cywilizacji niezmierzone obszary, pozyskać serca okrutnych dzikusów i uczynić z nich wzorowych chrześcijan i użytecznych obywateli.

Wspieraj nas, najukochańszy Ojcze, w tych świętych zamiarach, przygotowując dla nas dzielnych pracowników. Pobłogosław wszystkim pracującym w tych tu domach misyjnych a mianowicie temu, co całą duszą będąc Tobie oddany, całuje Twą rękę i pozostaje

najoddańszym sługą w Chr.

Ks. Antoni Malan.

(1) W chwili gdy to piszemy, nasz misjonarz ze swym młodym Indjaninem bawią już w Europie. Chłopiec nazywa się *Michał Migone:* jest od czterech lat u naszych misjonarzy i w tym krótkim przeciągu czasu nauczył się mówić poprawnie po portugalsku i po włosku a nieco także po francusku. Jest to bardzo miły chłopczyna; w Turynie zwiedził z wielkiem nabożeństwem cudowny obraz Matki Boskiej Wspomożycielki oraz grób ks. Bosko.



WIADOMOŚCI POTOCZNE

EUROPA.

OŚWIĘCIM. — W samą wigilię piątej rocznicy poświęcenia zakładu oświęcimskiego, 19. października, przybył do nas J. E. ks. St. Zdzitowiecki, biskup włocławski, witany deklamacyami i muzyką. Co za piękny zbieg okoliczności! Tego samego dnia i tej samej godziny przed pięciu laty wstępował w nasze progi J. Em. książę-biskup krakowski ks. kardynał Puzyna — aby nazajutrz dokonać poświęcenia zakładu; obecnie J. E. ks. biskup Zdzitowiecki przejeżdża — aby niejako stwierdzić to, co przy pomocy Bożej i za ofiary naszych Pomocników zdołaliśmy w przeciągu lat pięciu zdziałać. Jego Ekscellencya potężnym oratorskim głosem w pięknych i pełnych namaszczenia słowach wypowiedział swą radość, iż może na ziemi polskiej oglądać synów wielkiego ks. Bosko. Wspomniał, że przed 25 laty był w Turynie i widział się osobiście z ks. Bosko. Wtedy oglądając Oratoryum św. Franciszka Salezego, wzdychał do chwili, w której i w naszym kraju podobne zakłady powstawać będą. I oto jego pragnienia w części się spełniły: ogląda po raz wtóry zakład salezyański, nie pod włoskiem niebem, ale na ojczystej ziemi. Jego Ekscellencya wyraża pragnienie, aby i do jego dyecezyi synowie ks. Bosko mogli jak najprędzej się przedostać i spodziewa się, że jak się mogli osiedlić w Galicyi, tak będą mogli także na Królestwo rozciągnąć swoją zbawienną działalność wśród młodzieży, która po gwałtownych wstrząśnieniach ostatnich lat potrzebuje szybkiego i na wielką skalę zorganizowanego ratunku.

Jak zaś Najprzew. ks. biskupowi chodzi o zakony i jak wiele się spodziewa po ich pracy w odnowieniu ducha katolickiego pomiędzy ludem, widać to z artykułu, który nadesłał do ankiety ,,Przeglądu Powszechnego'', a w którym pomiędzy innemi tak się wyraża:

,,*Palącą i górującą ponad innemi sprawą jest pomnożenie liczby pracowników wśród wiernych, a szczególnie wskrzeszenie na ziemiach polskich klasztorów zakonnych, tych rozsadników cnoty i doskonałości chrześcijańskiej. Wszak to zakonnik w klasztorze, zapierając się świata i siebie, poświęca się całkowicie Bogu i zbawieniu dusz ludzkich, nie szukając ani oczekując tu żadnej nagrody ani uznania. Zakonnicy z zaparciem głoszą wszędzie naukę Chrystusową, aby wszyscy wiedzieli, w co wierzyć i jak żyć należy dla dojścia do szczęścia doczesnego i wiecznego, pomni tego, co mówi Duch Pański, iż Bóg zarówno nienawidzi niezbożnika i niezbożności jego* (Mądr. XIV, 9) *a z drugiej strony, że przez wszystek żywot mamy go miłować* (Ekkl. XIII, 18). *Otóż doskonały zakonnik, kochający we wszystkiem tylko samego Boga, najlepiej uczy jego znajomości i miłości. Wiemy zaś, że gdy ludzie umiłują P. Boga i zachowają mowę Jego* (Jan XIV, 21) *t. j. naukę i przykazania Jego, wtedy będą spokojnymi i pożytecznymi obywatelami kraju i dobrymi chrześcijanami, gotowymi wśród dzisiejszego osłabienia wiary i wichrzenia bezbożnych do powtarzania słów braci Machabejczyków: « Gotowiśmy raczej umrzeć, niżli zakon Boży ojczysty przestąpić »* (Machab. VII, 2).

W końcu pisze ks. biskup:

,,*W prowincyi kościelnej warszawskiej jesteśmy prawie zupełnie pozbawieni pomocy ze strony zakonników. Moja dyecezya miała niedawno największą liczbę klasztorów; dziś to wszystko upadło, bo klasztor OO. Paulinów na Jasnej Górze nigdy nie wystarcza na bardzo liczne potrzeby pątników, a w Włocławku u OO. Reformatów i w Kole u OO. Bernardynów są tylko starcy, bo najmłodsi z nich mają około 70 lat wieku.*

,,*Z tego powodu cały ciężar pracy kapłańskiej w kościele i poza kościołem spada wyłącznie na barki duchowieństwa świeckiego.*

,,*Wobec tego dochodzę do wniosku, że gwałtowną potrzebą dla dyecezyi naszych jest wskrzeszenie, a względnie sprowadzenie zakonów odpowiednich do głoszenia słowa Bożego, jak nauk, kazań i konferencyi rekollekcyjnych i misyjnych, a także do sprawowania Sakramentów św., bo kapłani nasi po większych i fabrycznych miastach są wszędzie pracą przeciążeni i nie mogą się innym a licznym zadaniom jak należy poświęcić.*

,,*Żniwo u nas obfite, proszę zatem z pokorą i wiarą i ufnością Pana żniwa, aby zesłał czemprędzej pożądanych żeńców, którzyby snopy z pełnymi kłosami składali w gumnach niebieskich, dokąd je sam Bóg przeznaczył.*''

Ks. biskup zwiedził z wielkiem zainteresowaniem się cały zakład i budowę kościoła, wieczorem zaś udzielił błogosławieństwa Przenajśw. Sakramentem. Nazajutrz o godzinie szóstej odprawił Mszę św. wspólną, podczas której z prawdziwem zadowoleniem i radością rozdał wychowankom Komunię św. Po śniadaniu pożegnał czule przełożonych, dziękując za miłe przyjęcie. Dla wychowanków zaś miał słowa pochwały, że tak licznie do Stołu Pańskiego przystępują, i zachęty, aby korzystali z nauk i wychowania, jakich się w zakładzie udziela. Tymczasem nadjechały powozy i za chwilę wszyscy spoglądali żałośnie za odjeżdżającym gościem, który paster-

skiem słowem rozbudził we wszystkich nowy zapał.

Dzięki Ci, Najprzewielebniejszy księże Biskupie za miłą wizytę, którą tak pięknie uwieńczyłeś pierwsze pięciolecie istnienia zakładu salezyańskiego na polskiej ziemi. Nie wiemy, co nam drugie pięciolecie przyniesie, ale życzymy, aby się Twoje gorące pragnienia mogły prędko ziścić.

DASZAWA. — Daszawa, dnia 1. listopada 1906 r. — *Deo gratias!* Grono kleryków salezyańskich w naszym Zakładzie znowu się powiększyło. Jedenastu młodzieńców, a to 9 Polaków, 1 Czech i 1 Słowieniec, przywdziało dziś suknię kościelną, poświęconą i doręczoną im przez naszego ukochanego ks. Inspektora. Mimo rozlicznych i uciążliwych prac, jakich klerycy i braciszkowie w poprzednich dniach musieli się podejmować, uroczystość miała przebieg nader wesoły. Bo też każdy widział w tem zdarzeniu nowy postęp sprawy naszej, poważne wzmocnienie szeregów salezyańskich, które zasilane coraz nowymi pracownikami, większą odtąd będą mogły rozwinąć działalność na niwie polskiej.

Wprawdzie to pracownicy bardzo jeszcze młodzi... Ale tem lepiej, że są młodzi, bo mają więcej czasu do własnego udoskonalenia się, a nie braknie im też tutaj środków i sposobności do rozwinięcia sił umysłowych i fizycznych. Ich przewielebny ks. Magister, będąc wychowany niejako przy kolebce Zgromadzenia ks. Bosko, wie, jak należy wszczepiać w młode nasze drzewka ducha salezyańskiego. Inni nauczyciele czynią swoje, aby w młodych klerykach wykształcić umysły. Żeby zaś *mens sana* była *in corpore sano*, o tem pamięta ks. gospodarz, zapraszając często „dobrodziejów" na wycieczkę w pole, do ogrodu i t. d., na którą to przechadzkę — zamiast laseczki lub parasolki, bierze się do ręki raz grabki, drugi raz rydel, to znowu siekierę i t. p., bo tak chcą przepisy daszawskiego życia towarzyskiego.

Toż nie dziw, że rok rocznie dobrane grono z naszych wychowanków oświęcimskich zrywa najdroższe więzy, by się oddać duszą i ciałem temu Zgromadzeniu, w którem widzi urzeczywistnienie najwznioślejszego z ideałów.

Znane już są z zeszłorocznego opisu szanownym czytelnikom naszym obrzędy i przebieg uroczystości obłóczyn: w dzień poprzedni wielka krzątanina u pana krawca, w ostatniej chwili przybyłego z Oświęcimia z upragnionymi mundurami. U golibrody walka na życie i śmierć z wąsami (które, nawiasem powiedziawszy, przy dawniejszych obłóczynach we Włoszech bardzo często przypominały małego rycerza lub Jacka wąsalę). W kościele poważny akt poświęcenia i wręczenia sukien; w zakrystyi hałaśliwe czasem wdziewanie takowych, gdzie wszyscy pragną nowym klerykom zapiąć przynajmniej jeden guzik. Następuje uroczyste nabożeństwo z asystą i klerem, potem skromny obiad, nakoniec wieczorek literacko-muzyczny, na którym szczęśliwcy wygłaszają swe uczucia, starsza brać wyraża swą radość, przełożeni dawają rady i zachęty, goście składają powinszowania: wszystko to rzeczy znane już naszym przezacnym Pomocnikom i czcigodnym Pomocniczkom. Należy im jeszcze jako powiernikom naszych boleści i radości odsłonić serce takiej młodej istoty, która jest przedmiotem tego uroczystego obrzędu. W sam dzień obłóczyn radość nadziemska przeważa nad innemi uczuciami. Ale dni poprzednie, to nieraz dni szalonej burzy, gwałtownej walki sumienia z sercem.

Już noc się rozpostarła, cisza dom zalega,
A jeszcze się nie zwarła do snu ma powieka;
Wzdrygam się, waham, trwożę, bojaźń mię obiega:
Przyjąć czy nie przyjąć? i pot ze mnie ścieka.

Tak nieraz dusza walczy z sobą, podczas gdy szatan jej szepcze:

Szalony, co zamierzasz? Chcesz uciec ze świata,
Pod obcą wolą spędzić piękne wiosny lata?
Gdzież pójdą twe wawrzyny, bogactwa, zaszczyty,
Z którychbyś w świecie zebrał plon piękny, obfity?
Lub czy też nie jest lepiej przykład dawać światu,
Zamiast się zamknąć w mury ciemnego zakładu?
Bądź tu naśladowanym, imię twe niech słynie:
Tam pięknych twoich czynów pamięć wnet zaginie!

Napróżno sili się wzbudzić w sobie myśli, które ją niegdyś tak mocno porywały do Boga:

Aby kiedyś być w niebie, pragnę służyć Bogu,
Choćby mi przyszło zmarnieć na garstce barłogu.

I podczas gdy świat używa lub nadużywa nocnego wypoczynku, dusza chcąca się oddać Bogu, szarpana jest sennemi widziadłami:

W oddali, kędy rzeczka srebrzyć się zaczyna,
Widzi: wdzięczny młodzian w szacie nad śnieg białej;
Nad nim ptaki drapieżne ostrzą swoje szpony,
Wkoło zgraja lwów, wilków . . . . .
Młodzian walczy, lecz nie sam — Anioł z nim się bije,
Anioł piękny i groźny jak rzymski Bóg wojny.
Lecz o zgrozo! młodziana nudzi ten bój znojny:
Ponętny rój motylków oko jego nęci;
A tymczasem łupieżcy chciwi i zawzięci
Rozdzierają mu szaty, szarpią młode ciało:
Pada, umiera młodzian... Jakoż się stało?

Zrywa się przestraszona, lecz

Ucichnęły pokusy, pierzchnęło zwątpienie;
Widać poskutkowało to senne marzenie,
Bo nie chciałbym tak zginąć, jak ów młodzian biały.
I sukienkę przyjąłem i chętnie przywdziałem,
Pomny na to, co dzisiaj we śnie oglądałem.

I zaczyna rok nowicyatu, rok próby i pracy. Czytelnicy pojmą teraz, dla czego tak często i tak usilnie upraszamy ich o modlitwy za nas, i zechcą i dla tych jedenastu nowych naszych kleryków okazać

się prawdziwymi pomocnikami, polecając ich gorąco P. Bogu i Najśw. Pannie Wspomożycielce.

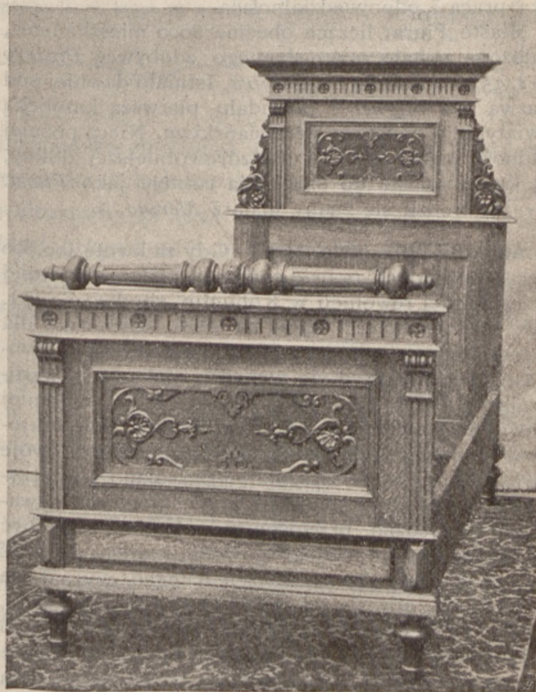
Bo to wspólne dobro nasze, nadzieje, na których opierać się będzie podrastające pokolenie.

RZYM. — W październiku b. r. po złożeniu ślubów zakonnych, wyjechało z Oświęcimia do Rzymu czterech kleryków na studya w słynnym uniwersytecie gregoryańskim. Zaznaczamy ten fakt dlatego, że po raz pierwszy takie szczęście spotyka wychowanków zakładu oświęcimskiego i kleryków polskiego nowicyatu w Daszawie. Przez to wskrzeszona została tradycya dziewięciu lat, od 1895 do 1904, w których Zgromadzenie Salezyańskie zawsze miało na uniwersytecie gregoryańskim swoich przedstawicieli Polaków. Od młodych akademików otrzymaliśmy następujące wiadomości:

,,Już trzy tygodnie upłynęły, jak tu przybyliśmy i jak się rozglądamy po tem ogromnem muzeum zabytków, po tej wiecznej wystawie tworów sztuki. Zwiedzaliśmy starożytne pomniki świetności rzymskiej, zapuszczaliśmy się w głąb ciemnych, ciasnych korytarzy katakombowych, a w bazylikach zdumiewaliśmy się nad żywotnością i siłą twórczą religii, która nawet na polu piękna zaznacza swą wielkość nieśmiertelnemi arcydziełami. — Zaraz w pierwszych dniach byliśmy zobaczyć nasz uniwersytet. Co za rozczarowanie! Najlepszy kościelny zakład naukowy mieści się w gmachu wielkim, ale starym i lichym, który pod względem zaniedbania przypomina może nasze krakowskie *Collegium majus*, ale nie dorównywa mu pod względem architektury i stylu. Mamy na pierwszym roku tygodniowo 17 godzin wykładowych, prócz tradycyonalnych ćwiczeń seminaryjnych *(circuli)*. Rok akademicki rozpoczął się dnia 4. listopada nabożeństwem w jezuickim kościele św. Ignacego. Na pierwszym roku filozofii jest nas 7 Salezyanów, t. j. oprócz nas, trzech Włochów. Najwięcej międzynarodowym jest skład naszych teologów, z których jeden jest Włoch, jeden Belgijczyk a reszta sami Amerykanie z różnych republik południowych. — Z wielką ochotą zaczęliśmy się zajmować kaplicą świąteczną. Po raz pierwszy widzimy taką instytucyę w naturze i chociaż znaliśmy teoretycznie jej ustrój, gdyśmy się rzucili w to morze dziatwy miejskiej, krewkiej, żywej, wesołej, hałaśliwej — oniemieliśmy i powiedzieliśmy sobie, że pomimo znajomości pedagogii książkowej, będziemy się tu mieli czego uczyć choćby przez trzy lata (*). Przychodzi tu w dni świąteczne do 250 chłopców: praca przełożonych jest wyczerpująca. Dziatwa poczyna się schodzić już o godzinie 7mej rano; do 11tej bawi się, słucha Mszy św. i nauczki. Po południu wraca o drugiej i dopiero późnym wieczorem rozchodzi się do domów. Prawie w każdą niedzielę mają wieczorem przedstawienie teatralne.''

Drogim współbraciom rodakom życzymy jak najlepszego powodzenia we wiecznej Romie!

TURYN. — Nowy oddział misyonarzy salezyańskich żegnał się z przełożonymi i współbraćmi u stóp Najśw. Wspomożycielki wieczorem 25. października. Liczne grono Pomocników i Pomocnic turyńskich przybyło wysłuchać przemowy misyonarza ks. Karola Peretto i uczestniczyć w obrzędzie pożegnalnym, który się odbył według uświęconego zwyczajem programu. Po błogosławieństwie Przenajśw. Sakramentem udzielonem przez ks. kard. Rychelmyego, nastąpiło odmówienie modłów liturgicznych za podróżujących i pożegnanie misyonarzy przez ks. Kardynała i ks. Jenerała. Gdy około 50 księży, kleryków i braciszków ruszyło od ołtarza środkiem kościoła ku bramie, tłum rozrzewniony widokiem tylu bohaterów wiary, nie mógł się powstrzymać od wzruszającej i imponującej manifestacyi. — Tego samego wieczora udali się wszyscy na grób ks. Bosko we Valsalice, gdzie po raz ostatni przemówił do nich ks. Rua. Różnymi okrętami odjechali misyonarze z Genui do dalekich republik Ameryki Południowej, a za nimi płynęły życzenia i modlitwy współbraci i Pomocników.



Łóżko wykonane w stolarskiej szkole zawodowej XX. Salezyanów w Oświęcimiu.

(*) Podziwiać należy zdolności filologiczne naszych młodych kleryków: zaledwie bowiem przed paru tygodniami z Polski przyjechali, a już się zajmują włoską młodzieżą. A trzeba wiedzieć, że młodzież ta, zwłaszcza uboższa, z reguły nie mówi między sobą po włosku, lecz w narzeczu miejscowem — względnie rzymskiem (Przyp. Red.).

AMERYKA.

PIURA (Perú). — O ważnej fundacyi donoszą nam księża nasi z rzeczypospolitej peruwiańskiej. — W mieście *Piura*, stolicy departamentu tejże nazwy, osiedlili się księża Salezyanie w zakładzie rzemieślniczym, objętym na podstawie kontraktu zawartego z radą gminną a zatwierdzonego dekretem ministra oświaty. Liczba uczni dochodzi już do 150. Uległość młodzieży, doskonałe rozmieszczenie klas i warsztatów, życzliwość i poważanie ludności osładzają życie naszym współbraciom, obarczonym ciężką pracą i odpowiedzialnością.

Miasto Piura, liczące obecnie 8000 mieszkańców, założone zostało przez słynnego zdobywcę *Pizarro* w r. 1532 w dolinie rzeki *Chira*. Istniało dawniej pod nazwą *San Miguel* i posiadało pierwszą katolicką świątynię w państwie peruwiańskiem. Nieco później ludność przesiedliła się do zdrowotniejszej doliny, w której miasto do dziś dnia istnieje jako *Piura*. — Tu urodził się znany malarz *Merino*.

AGUA DE DIOS (Kolumbja). — Gdy za kwotę 400.000 *pezos*, zebranych prawie cudownie podczas ostatniej trzechletniej rewolucji w Kolumbji, zbudowano w t. zw. mieście boleści *Agua de Dios* schronisko dla sierot trędowatych, przy przyjęciu pierwszych dwunastu dzieci zdarzył się wypadek ciekawy i wzruszający. Zauważono mianowicie, że w ostatniej chwili nie stawił się dziesięcioletni chłopczyk, w którym choroba już bardzo daleko posunęła była swoje straszne dzieło zniszczenia. Przywołano go. Przyszedł nieśmiały i smutny i z wielkiem uszanowaniem powiedział przełożonemu, że nie chce być w schronisku dla jednego powodu, którego wyjawić nie może. Gdy księża zaczęli nalegać, wyznał, że obawia się, aby się od jego ran nie zaraził ksiądz, który się będzie schroniskiem zajmował. Dopiero gdy go upewniono, że księdzu nie grozi żadne niebezpieczeństwo, uspokoił się i następnego dnia wstąpił do przytuliska. — Dziwna delikatność u dziecka, skazanego za życia na rozkład i powolne, okropne zamieranie!

WYSPA DAWSON (Chile). — Dopiero teraz dowiadujemy się o następującem zdarzeniu, które przez lat siedmnaście z różnych względów trzymano w ukryciu. — W roku 1889 rząd chilijski odstąpił Salezyanom w celach misyjnych na lat dwadzieścia wyspę *Dawson*, na której według twierdzeń wielu podróżnych miały istnieć resztki plemienia ludożerczego. Uważano te pogłoski za bezpodstawne i 4. lutego tego samego roku wylądowało na wyspie dziesięć osób, mających stanowić personał przyszłej misyi, mianowicie dwóch Salezyanów: ks. Antoni Ferrero i braciszek Jan Silvestro, oraz ośmiu robotników płatnych: stolarzy, cieśli, pasterzy i t. d. Nad zatoką *Harris* założono niebawem stacyę misyjną, do której już w następnym tygodniu przyszło 17 Indyan z osławionego szczepu *Alacalufes*.

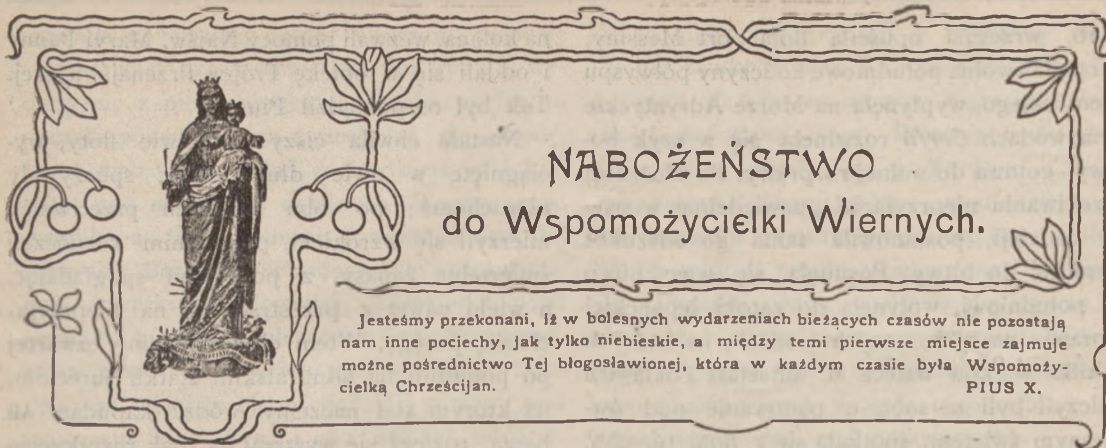
Dnia 7. września tegoż roku wszyscy robotnicy prosili księdza Ferrero, aby im na uroczystości narodowe pozwolił popłynąć do Puntarenas okrętem, który właśnie zarzucił kotwicę w zatoce. Postępowanie Indyan w siedmiu pierwszych miesiącach było tak wzorowe, że misyonarze mieli do nich zupełne zaufanie. Bez trudności zatem pozwolono wszystkim robotnikom wyjechać. Pojechał także ks. Ferrero, bo na wyspie pozostał z bratem Silvestro ks. Pistone, który od trzech miesięcy pracował tam z niezwykłem powodzeniem i był ulubieńcem dzikusów.

Okręt odpłynął. Nazajutrz, 8. września, zauważyli obaj misyonarze, że wszyscy Indyanie opuścili misyę, nikomu się nie opowiedziawszy. Trochę ich to zaniepokoiło. Dnia 9. września zjawiło się sześciu z nich. Obeszli misyę, jakby się chcieli upewnić, czy naprawdę tylko dwóch białych pozostało i weszli do kuchni. Tu znowu podpadło braciszkowi, że odmówili przyjęcia pokarmów, na które dotąd byli tak chciwi: Odchodząc, rzekli: „Nie chcemy takich pokarmów, chcemy twego ciała.“ Poczciwy braciszek sądził, że ich źle zrozumiał i nie przywiązywał do ich słów żadnej wagi.

Upłynęła godzina. Brat Silvestro grzebał coś koło kuchni, a ks. Pistone zajęty był w ogródku, gdy ku misyi zbliżyło się znów sześciu Indyan. Trzech udało się ku kapłanowi, trzech poszło do kucharza. Aby nie wzbudzić podejrzenia, szli z uśmiechem na ustach i nieśli skórki zwierzęce niby do podarowania. Gdy już doszli do księdza, rzucili się nagle na niego, dwóch uchwyciło go za ręce, a trzeci wymierzył mu długim nożem gwałtowny cios w gardło. „Wspomożycielko, ratuj mnie!“ krzyknął misyonarz i szarpnął się rozpaczliwie, aby ujść ciosu. Na jego krzyk dzicy czemprędzej uciekli, zostawiając narzędzie swej zbrodni. Misyonarz uszedł śmierci, ale odniósł głęboką ranę na twarzy. — Równocześnie dokonano takiego samego zamachu na brata Silvestro, na którego jeden z dzikusów godził siekierą, podczas gdy dwóch trzymało go za ręce. I on był tak przytomny, że się gwałtownym ruchem uchylił i odniósł tylko ciężkie rany na czole i ramieniu.

Przerażeni tragicznością napadu, misyonarze zamknęli się w domku i leczyli wzajemnie. Dopiero 11. września przybył przypadkowo do zatoki mały statek angielski, który dla bezpieczeństwa misyonarzy zostawił na wyspie jednego majtka i pojechał do Puntarenas zawiadomić o nieszczęśliwym wypadku Prefekta Apostolskiego ks. Fagnano. Dnia 17. września przybił do wyspy z żywnością i lekarstwami mały żaglowiec, który nazajutrz odjechał z powrotem pomimo burzy, zabierając rannego brata Silvestro. Dojechano szczęśliwie do zatoki św. Piotra i Pawła. Morze się tymczasem uspokoiło, tylko wiatr był przeciwny. Postanowiono więc dojechać stąd do Puntarenas na łódkach wiosłowych. Brat Silvestro wsiadł ze silnym marynarzem do lekkiego czółna. Jazda była z początku szczęśliwa, ale niedaleko wybrzeża łódź pod naporem wiatru wywróciła się. Majtek ledwo ocalał, a braciszek osłabiony i niebiegły w pływaniu utonął. — Równocześnie powstała burza. Żaglowiec uniesiony przez fale morskie, rozbił się krótko potem o skałę.

To działo się w roku 1889, w zaraniu misyi, która dziś jest pod każdym względem kwitnąca i nazywa się misyą św. Rafała.



NABOŻEŃSTWO do Wspomożycielki Wiernych.

Jesteśmy przekonani, iż w bolesnych wydarzeniach bieżących czasów nie pozostają nam inne pociechy, jak tylko niebieskie, a między temi pierwsze miejsce zajmuje możne pośrednictwo Tej błogosławionej, która w każdym czasie była Wspomożycielką Chrześcijan.
PIUS X.

II. — Bitwa pod Lepanto.

(7 paźdz. 1571).



Za panowania sułtana **Solimana II.**, zwanego *Wspaniałym*, i syna jego oraz następcy **Selima II.**, potęga turecka doszła do zenitu. Soliman zdobył twierdzę i wyspę Rodos, ostatnią warownię rycerzy św. Jana, podbił Węgry i w zwycięskim pochodzie ku środkowej Europie zapędził się aż pod Wiedeń. Pod Selimem Turcy zdobyli wyspę Cypr, bronioną przez Wenecyanów, dopuszczając się na jeńcach chrześcijańskich niesłychanych okrucieństw. Wtenczas blady strach padł na chrześcijaństwo, zwłaszcza na ludy południowej Europy: oczekiwano powszechnie rychłego najazdu Turków na Włochy.

Grożące ze wschodu niebezpieczeństwo, gorączkowe przygotowania i gromadzenie niezmiernych przyborów wojennych w tureckich portach i arsenałach, sprawiły, że niezgodne zazwyczaj i w ciągłych ze sobą zostające zwadach państewka włoskie, usłuchały tym razem chętnie głosu Namiestnika Chrystusowego, Papieża **Piusa V.**, wzywającego do zawiązania ligi przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi. Do tej ligi chrześcijańskiej przystąpił również król **Filip II.** hiszpański.

Ażeby utrzymać nieodzowną zgodę i jedność pomiędzy sprzymierzonymi, uchwalono jednomyślnie obwołać Ojca św. Piusa V. naczelnikiem ligi. Chodziło jeszcze tylko o zamianowanie wspólnego wodza zjednoczonych sił chrześcijańskich. Znalazł go Pius V. w osobie **Don Juana d'Austria**, brata przyrodniego króla hiszpańskiego Filipa II., który już w różnych wyprawach wojennych okazał był nadzwyczajną waleczność, połączoną z przezornością i wszelkimi przymiotami potrzebnymi dobremu wodzowi. Dowódcą galer papieskich był **Marek Antoni Colonna**; na wyprawę otrzymał od Papieża sztandar z wizerunkiem Zbawiciela rozpiętego na krzyżu, z napisem: *In hoc signo vinces* (w tym znaku zwyciężysz). Statki weneckie wiódł **Veniero** i mężny **Barbarigo**; genueńskim przewodził **Jan Andrzej Doria.**

Naczelnik jednakże ligi i właściwy twórca całej wyprawy, Ojciec św. Pius V., wyprawiając sprzymierzeńców na Turków, nie polegał jedynie na flocie chrześcijańskiej, lubo dosyć licznej i bardzo zaopatrzonej. Całą swoją ufność położył raczej w pomocy z niebios. Don Juanowi przepowiedział pewne zwycięstwo pod warunkiem, jeśli on sam jako generalissimus swoim podwładnym świecić będzie przykładem w pełnieniu cnót chrześcijańskich; jeśli z wojska wydali osoby niegodne imienia chrześcijańskiego, lub które się do wyprawy przyłączyły jedynie w nadziei spodziewanych łupów, i jeżeli surowo przestrzegać będzie, ażeby żołnierze nie miotali przekleństw i nie oddawali się grze i rozpuście.

W trzy dni przed 8. września 1571 r., świętem Narodzenia Najświętszej Panny, zapowiedziano trzydniowy post flocie chrześcijańskiej; cała załoga spowiadała się, przystąpiła do Komunii św. i otrzymała odpusty zastrzeżone wyłącznie dla uczestników wyprawy. Liczni kapłani świeccy i zakonni znakomicie podtrzy mywali ducha ożywiającego wojsko sprzymierzeńców.

16. września opuściła flota port Messiny, okrążyła zwolna południowe kończyny półwyspu apenińskiego, wypłynęła na Morze Adryatyckie i na wodach *Corfú* rozwinęła się w szyk bojowy, gotowa do walnej rozprawy. Po dłuższem oczekiwaniu nieprzyjaciela, zawiedziona w swojej nadziei, postanowiła sama go odszukać i zmusić do bitwy. Posunęła się więc nieco ku południowi, wpłynęła do zatoki lepanckiej i prawie na tych samych wodach, na których o kilka wieków wstecz **M. Antoniusz i Oktawian** walczyli byli ze sobą o panowanie nad ówczesnym światem, spotkała się z flotą turecką, ażeby rozegrać walkę, mającą równą co tamta doniosłość. Nawet większą o wiele: chodziło tu bowiem nietylko o panowanie Wschodu nad Zachodem lub odwrotnie, lecz głównie o to, czy muzułmański półksiężyc pokona krzyż Chrystusa, czy islam weźmie górę nad chrześcijaństwem.

Było to 7. października 1571 r. krótko po południu, gdy flota chrześcijańska spotkała się nareszcie z turecką. Don Juan d'Austria, po krótkiej naradzie wojennej, postanowił jeszcze tego samego dnia z nią się zmierzyć!

Siły tureckie znacznie przewyższały zastępy chrześcijańskie: ich flota liczyła samych galer 245; prócz tego mogło na linji bojowej stanąć jeszcze 87 tureckich statków wojennych różnej wielkości, gdy tymczasem chrześcijańskich okrętów wojennych nie było więcej nad 209.

Przygotowanie do bitwy po stronie chrześcijańskiej odbyło się szybko: środek linji bojowej zajął D. Juan d'Austria wraz z admirałem papieskim Colonna i weneckim admirałem Veniero; na prawem skrzydle dowodził Genueńczyk Jan Andrzej Doria, na lewem Wenecyanin Barbarigo: rezerwą zawiadował markiz Santa Cruz. Krótkie, ale ogniste były przemowy wodzów do żołnierzy: przedstawili im ważność chwili i zagrzali do spełnienia nadziei, jakie w ich orężu pokładało całe chrześcijaństwo. Poczem wszyscy uklękli, a kapłani z krucyfiksem w ręku udzielali całej załodze rozgrzeszenia i odpustu zupełnego, nadanego przez Ojca św. W kilka chwil później, na znak dany ze statku admiralskiego, huknęły kotły i zagrały trąby: wszyscy chrześcijanie padli raz jeszcze na kolana, wezwali pomocy Najśw. Maryi Panny i oddali się w opiekę Trójcy Przenajświętszej. Tak był rozporządził Pius V.

Nastała chwila ciszy: obydwie floty, wyciągnięte w dwie długie linje, spoczywały nieruchome; po obu stronach przeciwnicy mierzyli się wzrokiem, pierw nim rozpoczęli śmiertelne zapasy, z podziwem spoglądając, a wielu nawet z przestrachem na nieprzyjacielską potęgę. Wtem około godziny czwartej po południu na admiralskim statku tureckim, na którym stał naczelny wódz, kapudan **Ali** basza, rozległ się wystrzał na znak rozpoczęcia boju; kula wysłana z najcięższego i największego z Don Juanowych dział zawarczała w powietrzu, niosiąc Ottomanom chrześcijańską odpowiedź, zaczem rozpoczęła się walka na całej linji. Turecka flota starym zwyczajem ustawiona w kształcie półksiężyca, wzięła odrazu nad chrześcijańską przewagę; obydwa rogi półksiężyca zwinęły się silnie, usiłując opasać flotę chrześcijańską i zgnieść ją w śmiertelnym uścisku; żołnierze chrześcijańscy, słabsi co do liczby od pohańców, mieli nadto tę niekorzyść, że z frontu byli oślepiani promieniami zwolna zachodzącego słońca i mieli przeciwny sobie wiatr, zwiewający na nich całe kłęby dymu z nieprzyjacielskich armat. Niebawem jednakże wiatr ustał i o dziwo! po krótkiej chwili zerwał się na nowo, lecz począł wiać w prost przeciwnym kierunku, zionąc wszystek dym chrześcijańskiej artyleryi bisurmanom w oczy. Ta nagła zmiana podniosła nadzwyczaj ducha zastępów chrześcijańskich, nie zmniejszyła jednakże bynajmniej męstwa załogi tureckich statków; od samego początku walki Turcy bili się równie krzepko i zażarcie.

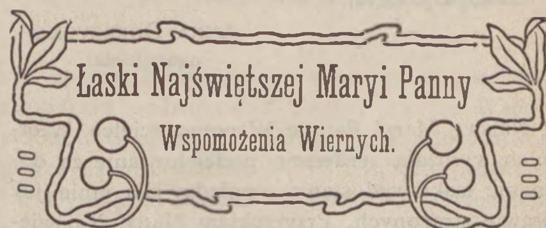
Obaj przeciwnicy mieli żywy przykład męstwa w swoich wodzach: ustawione w środku linji bojowej naprzeciw siebie obydwa admiralskie statki, wkrótce po rozpoczęciu walki ogólnej skwapliwie przypadły ku sobie: przez niespełna godzinę sypały do siebie ogniem, aż nareszcie po długiej, zażartej strzelaninie kula powaliła tureckiego admirała; na jego okręt wdarła się załoga Don Juanowego statku, wycięła pohańców w pień, zrzuciła flagę z wysokiego masztu, a głowę poległego kapudan-baszy

zatknęła na wysoką dzidę. Centrum tureckie zostało wnet przełamane: okrzyki tryumfu wydarły się z piersi chrześcijan, szala zwycięstwa poczęła powoli na ich przechylać się stronę. Jakoż niebawem w ślad za środkiem tureckiej floty, pod natarciem dzielnych Wenecyanów, ustąpiło z linji bojowej również prawe jej skrzydło: Barbarigo własnoręcznie położył trupem tureckiego dowódcę. Lewe natomiast skrzydło tureckie, walczące z Genueńczykami, przez pewien czas wzięło nad nimi górę; z nadejściem wszakże chrześcijańskiej rezerwy pod markizem Santa Cruz i ono zostało odparte. Zwycięstwo chrześcijan było zupełne. Turcy stracili 244 statków wojennych, z których 94 częścią zostały spalone, częścią poszły na dno; około 30.000 niewiernych legło trupem lub zostało pogrążonych w odmętach morskich, 3500 wzięto do niewoli, a 15.000 chrześcijan użytych jako wioślarzy na tureckich galerach rozkuto i obdarzono wolnością. Straty chrześcijan wynosiły 15 okrętów i 8000 załogi.

Przegrana pod *Lepanto* zniszczyła raz na zawsze przewagę turecką na morzu; ludy chrześcijańskie, zamieszkujące północne wybrzeża morza Śródziemnego, odetchnęły swobodnie: napad na Europę południową w rozmiarach, jak to niewierni zamierzali byli w r. 1571, już się więcej nie powtórzył.

Podczas gdy flota chrześcijańska wyruszała na pohańców, w *Rzymie* tymczasem przez cały miesiąc wrzesień i początek października odprawiano ustawicznie procesye i zarządzano publiczne modły dla wybłagania zwycięstwa dla oręża chrześcijańskiego. Ojciec św. Pius V. na ten cel rozdawał hojne jałmużny i umartwiał coraz surowiej już i tak postami i ostrą pokutą wycieńczone ciało. Całą noc poprzedzającą bitwę na wodach Lepanto jak również cały następny dzień, niepomny na podeszły wiek i mocno nadwątlone zdrowie, przepędził w poście i na modlitwie. Pod wieczór tego pamiętnego dnia podskarbi dworu papieskiego zdołał nareszcie u niego otrzymać audyencyę w pilnej jakiejś sprawie; za nim weszło do sali kilku prałatów. Podskarbi rozpoczął mówić, wtem Papież powstał, ruchem dłoni nakazał milczenie, przystąpił do okna, otworzył je i przez kilka minut nadsłuchiwał z wytężoną uwagą. Nagle zamknął okno i z uniesieniem zawołał: „*Teraz nie czas na sprawy doczesne! Idźmy dziękować Panu Bogu. Właśnie o tej porze flota nasza potyka się z Turkami i odnosi zwycięstwo.*“ Łzami zalany upadł Ojciec św. na kolana w prywatnej swej kaplicy i długo, długo wznosił modły dziękczynne do Nieba. W kilka dni później nadeszła do Rzymu wiadomość o odniesionem zwycięstwie; widzenie Ojca św. w dniu 7. października zostało stwierdzone: pod wieczór tego właśnie dnia krzyż tryumfował nad półksiężycem.

Na uwiecznienie tego pamiętnego zwycięstwa ustanowił Pius V. święto M. B. Różańcowej, a do litanji loretańskiej dodał wezwanie: **Auxilium Christianorum, ora pro nobis** (Wspomożenie Wiernych, módl się za nami)!



Podwójna łaska.

W styczniu t. r. zachorował śmiertelnie 6letn synek tutejszego organisty. Lekarz nie okazywał najmniejszej nadziei utrzymania go przy życiu Przysposobiono zatem małego pacyenta do spowiedzi św. i zaopatrzono go śś. Sakramentami

Ciężko strapionym rodzicom, którzy lada chwila spodziewali się śmierci chorego, dałam medalik i formułkę nowenny do M. B. Wspomożenia Wiernych, oraz małą figurkę Dzieciątka Jezus, którą przywiozłam z Pragi, otartą o cudowną figurę. Poleciłam nadto odprawić nowennę do Najśw. Wspomożycielki Wiernych, do której mam wielkie nabożeństwo, przyłączając się także do modłów. — Jakież było moje zdziwienie, gdy w stosunkowo bardzo krótkim czasie potem ujrzałam przychodzącego do mnie malca z swą matką, ażeby mi podziękować za nowennę i przynieść 3 marki na Mszę św. dziękczynną! Doręczone mi pieniądze wysyłam równocześnie z niniejszym listem. — Chłopczyk zdrów teraz zupełnie, chodzi do szkoły i służy do Mszy św.

Niezadługo potem ja także ciężko zachorowałam i zniewolona byłam przeleżeć dłuższy czas w kli-

nice. Wycierpiałam dużo, ale Najśw. Panna przychyliła się także łaskawie do próśb przed Jej tron za mnie zanoszonych i raczyła mi zdrowie przywrócić.

Dziękując całem sercem Panu Jezusowi i Matce Najświętszej za powyższe łaski, proszę o łaskawe odprawienie dwóch Mszy św. dziękczynnych z prośbą o dalszą opiekę.

Wielowieś (W. Ks. Poznańskie), 9. X. 1906.

Janina Cz.

* * *

Składam publiczne najgorętsze podziękowanie Wspomożycielce Wiernych za szereg niezliczonych łask, jakie od Niej odbierałam i odbieram. W chwilach największego ucisku, kiedy się zdaje, iż upaść trzeba będzie pod ciężarem trosk, Ona, ta najczulsza i najlepsza Matka, zawsze ze skuteczną przybywa mi pomocą, za co Jej cześć, chwała i uwielbienie!

Zelczyn (Galicya).

Anna Dobrzycka
nauczycielka.

* * *

Najśw. Maryi Pannie Wspomożycielce Wiernych wyrażam serdeczne podziękowanie za doznanie łaski wydostania pieniędzy dla mnie już prawie straconych. Przyrzekłam Matce Najświętszej, że gdy te pieniądze otrzymam, ogłoszę to w *Wiadomościach Salezyańskich*. Matka Boska wysłuchała mnie istotnie, stąd dla uiszczenia się z danego przyrzeczenia, składam Jej publiczne dzięki za tę łaskę i załączam ofiarę na Mszę św. dziękczynną.

Poznań, dnia 13. września 1906.

Marta Talarowska.

* * *

Pewna osoba zaskarżyła nas niesłusznie ze zemsty. Udaliśmy się zaraz do adwokata, lecz ten po zbadaniu sprawy oświadczył, że prawdopodobnie przegramy, jeśli nie znajdziemy kogoś, coby mógł świadczyć na naszą korzyść. W tych warunkach, w jakich się cała rzecz przedstawiała, było to oczywiście niemożliwem, dlatego ufnije dynie w pomoc Pocieszycielki utrapionych, posłaliśmy na Mszę św. i zaczęliśmy odprawiać nowennę do Najśw. Maryi Panny Wspomożenia Wiernych. Poprosiliśmy również XX. Salezyanów, ażeby i oni łącznie z swymi wychowankami raczyli się za nas modlić.

Matka Najśw. okazała się dzielną naszą obrończynią, gdyż w czasie procesu skarga przeciwko nam została umorzona, za co niechaj Jej będzie cześć, chwała i podziękowanie po wszystkie czasy!

Börnig (Westfalia), 28. IX. 1906.

W. F. K.

* * *

Ja niżej podpisany prosiłem Matkę Boską Wspomożycielkę o pewną łaskę której, nie wymieniam i ślubowałem ogłosić publicznie, jeżeli moja prośba będzie wysłuchana. Najświętsza Marya Panna udzieliła mi wkrótce to, o co ją prosiłem, dlatego też publicznie składam Jej nieskończone dzięki.

Kołomyja (Galicya).

A. Marcinowski.

Marya Wspomożycielka mnie uzdrowiła.

Zeszłego roku prosiłam XX. Salezyanów o modlitwy za mną, tak bowiem byłam z sił wyczerpana, iż wszyscy myśleli że umrę. Ja sama byłam przekonana, że już nadszedł mój koniec i sposobiłam się do tego, ale dobrotliwa Wspomożycielka Wiernych pokierowała sprawą inaczej, wysłuchując modłów za mną zanoszonych i przywracając mi zdrowie. Gdym do WW. Ojców list pisała, nie mogłam głowy do góry utrzymać ani szyć; ledwiem atoli wysłała prośbę o modlitwy do Maryi Wspomożycielki, zaraz zrobiło mi się znacznie lepiej, tak że zanim od Wielebnych Ojców nadeszła odpowiedź, iż się za mnie będą modlić, ja już mogłam chodzić i szyć: kiedy zaś WW. Ojcowie zaczęli nowennę, moja choroba znikła prawie zupełnie.

Ludzie zdziwieni tym nagłym zwrotem w mej chorobie, pytali się, do jakich doktorów żem się udawała, a ja każdemu odpowiadałam, iż żadnych leków nie używałam, ani do żadnego lekarza nie chodziłam, lecz ofiarowałam się jedynie Matce Boskiej Wspomożeniu Wiernych. Obecnie mogę szyć cały dzień, nie czując żadnego zmęczenia.

Za to wielkie dobrodziejstwo składam Matce Najświętszej nieskończone dzięki i załączam skromną ofiarę na cele salezyańskie.

Mikołajów (Galicya), 26. IX. 1906.

Marya W.

* * *

Dziękuję pokornie Najświętszej Maryi Pannie Wspomożeniu Wiernych za wyproszenie zdrowia ciężko chorej dziecinie mojej i proszę o dalszą nad nim opiekę, aby mu Matka Najśw. wyprosiła łaskę kapłaństwa i misyonarstwa.

O Maryo, Wspomożenie wiernych, bądź nam Matką w życiu i przy śmierci!

Poznań, dnia 5. października 1906.

STANISŁAWA B.

Podziękowanie.

Córeczka moja Maniusia przez długi czas chorowała na uporczywą malaryę i mimo ciągłej kuracyi, nie było polepszenia. Dopiero od chwili, gdy ciocia jej poleciła i oddała ją w opiekę Matki Boskiej Wspomożycielki Wiernych, leczenie w bardzo krótkim czasie pomyślny wzięło obrót. Składając więc za to publiczne podziękowanie Matce Boskiej Wspomożycielce Wiernych i polecając dzieci moje dalszej Jej opiece, przesyłam równocześnie ośm koron na mszę świętą.

Kraków, dnia 1. X. 1906.

Z. T.

***

Niżej podpisana chorowałam ciężko na głowę i miałam być z tego powodu operowana. Ponieważ operacya ta byłaby dla mnie była nader bolesną, rodzice moi chcąc mi jej zaoszczędzić, posłali ofiarę na odprawienie kilku Mszy św. i zaczęli wraz ze mną odprawiać nowennę do Najśw. Wspomożycielki Wiernych. I stała się rzecz naprawdę dziwna: zaledwie bowiem rodzice wysłali ofiarę i rozpoczęli nowennę, natychmiast wszelkie boleści ustały i operacya okazała się zbyteczną. Dzisiaj zaś jestem zupełnie zdrowa.

Za tę wielką łaskę składam dobrotliwej Wspomożycielce (łacznie z rodziną) należyte dziękczynienie i przesyłam dziewięć marek na odprawienie mszy świętej przed Jej cudownym obrazem.

Ziemięcice (Górny Śląsk).

ALBERTYNA JANES.

« Ty jedyna możesz ją uratować!... »

W sierpniu b. r. otrzymałam wiadomość, iż moja matka tak ciężko się rozchorowała z powodu ataków sercowych i ustawicznych omdlewań, że doktorzy zwątpili zupełnie o jej wyzdrowieniu.

Jestem jedynaczką, dlatego gorącem życzeniem chorej było ujrzeć mnie jeszcze raz przed śmiercią; ale ponieważ było to wręcz niemożliwem z powodu wielkiej odległości, jaka dzieli Włochy od Polski, gdzie się moja matka znajduje, stąd z bólem w sercu musiałam pogodzić się z myślą nie zobaczenia już więcej na tej ziemi mej najdroższej rodzicielki. Ona również zdała się po chrześcijańsku na wolę Bożą — i w liście, który podyktowała jednemu z mych braci, przesłała mi swe macierzyńskie błogosławieństwo, zapewniając mnie, że umierała spokojnie, poddana zupełnie woli Najwyższego. Nie umiem opisać żałości, jaka mną owładnęła po przeczytaniu tego listu. Mimo to chociaż mi mówiono, iż było niepodobieństwem, aby chora mogła wyzdrowieć, nawet dla podeszłego swego wieku (liczy już bowiem siedmdziesiąt pięć lat), czułam jednak wielką ufność do Najśw. Wspomożycielki Wiernych i powtarzałam sama do siebie: « *Ty jedyna możesz ją uratować!...* » Zaczęłam też zaraz odprawiać gorliwie nowennę do tejże Matki Najświętszej — i po jej ukończeniu dowiedziałam się ku mej wielkiej radości, że matce zaczęło się polepszać. Obecnie ma się zupełnie dobrze i razem ze mną składa potężnej Wspomożycielce Wiernych nieskończone dzięki za przywrócone sobie zdrowie.

Conegliano Veneto (Włochy).

Siostra ANNA WAŁĘGA
Córka Maryi Wspomożycielki.

***

Z sercem przepełnionem wdzięcznością spieszę publicznie podziękować Najśw. Pannie Wspomożeniu Wiernych za wielkie łaski, które za Jej przyczyną otrzymałam. — W tym celu prosiłam ks. Dyrektora Zakładu X. Bosko w Oświęcimiu o mszę św. i nowennę, przyrzekając, iż jeśli Matka Boska Wspomożycielka Wiernych raczy mnie wysłuchać, ogłoszę to w *Wiadomościach Salezyańskich.*

Czynię więc zadość danemu przyrzeczeniu i posyłam piętnaście marek od męża i siebie na cele salezyańskie, oraz na kościół w Oświęcimiu. Radzę przytem wszystkim zostającym w nieszczęściu lub potrzebie, aby z całą ufnością i wiarą uciekali się do Najśw. Maryi Wspomożycielki.

Poznań, dnia 23. października 1906.

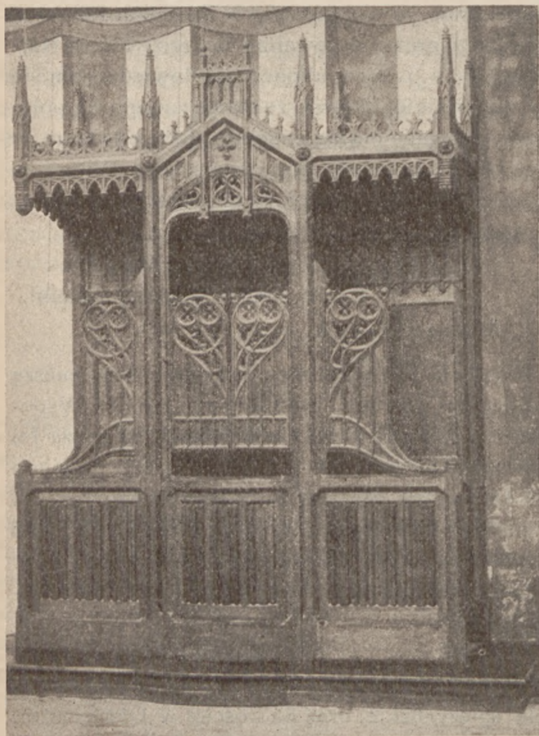
WALENTYNA ZEYLANDOWA.

***

Dziękują Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych, za doznane łaski i przesyłają ofiary na Msze św. lub na cele salezyańskie, a mianowicie na zakład oświęcimski, także następujące osoby:

Walenty i Anna Jaworowie z Granicy (*Królestwo Polskie*); Józef Stróżyński z Darnowa *(Wielkie Księstwo Poznańskie)*; Marja Teuchmanowa ze Lwowa (*Galicya*); Bazyli Podkówka z Dębników (*Galicya*); Józef Witkowski z Gwiazdowa *(W. Ks. Poznańskie)*; Natalia Gocko z Popowiec (*Galicya*); Andrzej Wanoth z Niem. Piekar (*Górny Śląsk*); Franciszek i Krystyna Szostek z Żandowic (*Górny Śląsk*); Karolina Olszenicka ze Skrzynki (*Galicya*); Franciszek i Maryanna Gór-

scy z Łasina (*Prusy Zachodnie*); W. J., c. k. strażnik skarbu, za wysłuchanie prośby; Franciszek Filla z Wilhelminyhuty (*Górny Śląsk*), za wyzdrowienie z ciężkiej choroby; Paulina Steliga z Czortkowa (*Galicya*), za wyzdrowienie siostrzeńca ze szkarlatyny i dyfteryi, oraz uchronienie swoich troje dzieci od tejże choroby; Stanisława Rymarkiewiczowa z Rogożna (*W. Ks. Poznańskie*), za przywrócenie dziecku zdrowia; T. B. z Zagórzan (*Galicya*), za pomoc w otrzymaniu posady; Jadwiga Czarlińska z Inowrocławia (*Wielkie Ks. Poznańskie*), za doznane dobrodziejstwa; Stanisław Kordela z Podgórza (*Galicya*), za odzyskanie zdrowia; Anna Świętkowa z Galicyi, za wyzdrowienie z ciężkiej słabości; J. M. z Łagiewnik (*Górny Śląsk*), za pomoc w egzaminie.



Oświęcim. — Konfesyonał z kościoła XX. Salezyanów wykonany w ich szkole zawodowej.

OŚWIADCZENIE.

Niniejszem oświadczamy uroczyście, że w poczuciu zupełnego posłuszeństwa dla dekretów papieskich, a mianowicie w myśl dekretów Ojca św. Urbana VIII., *z 13 marca 1625 i 5 lipca 1634 w sprawie wypadków cudownych, poddajemy całą treść niniejszego pisma wyrokom św. Kościoła katolickiego, i że wszystkim i nadzwyczajnym zdarzeniom, opowiedzianym przez nas w dobrej wierze, o których Kościół św. jeszcze nie zawyrokował, jedynie tylko ludzką przyznajemy wiarogodność, nie wyprzedzając ani przesądzając orzeczeń Stolicy świętej, której zawsze i wszędzie chcemy okazać uległość i posłuszeństwo.*

ROZMAITOŚCI

Do tych chłopców, którzy czytać nie lubią.

Drodzy przyjaciele! Słyszeliście już może wszyscy o księdzu Bosko. Był to bardzo pobożny, świątobliwy kapłan... we Włoszech, w mieście Turynie. Ale co?! Przecież wy go znacie. Wy jesteście jego najlepszymi przyjaciółmi, bo on lubi nadzwyczaj maleńkich chłopców, ubogich i opuszczonych. Jeśli jesteś młody, maleńki, biedny i opuszczony, to jesteś przyjacielem księdza Bosko.

Powiesz mi: „Ale ja księdza Bosko nie znam, nie widziałem go, nawet sam ks. Bosko mnie nie zna. Jakżeż ja mogę być jego przyjacielem?"

Posłuchaj. Co to szkodzi, że go ty nie znasz a on ciebie? Zapewniam cię, że on cię kocha, a dlaczego nie mógłbyś i ty wzajemnie go kochać? Ksiądz Bosko tak kochał młodzież, iż życie swoje poświęcił dla niej. Nie chcę się o tem długo rozpisywać! Co takiego uczynił, tego dowiesz się skądinąd.

Posłuchaj teraz czego innego, czegoś jeszcze napewno nigdy nie słyszał. Znałem niezwykłego człowieka, imieniem *Makarego*. Jaka szkoda, żeś go i ty nie znał. Był to sobie człek dowcipny, zabawny, ucieszny i nadzwyczaj dziwaczny. Miał przydomek *Nowina*, bo wszystkie pogłoski i wiadomości spisywał w grubej, szarej księdze. Było w niej więcej opowiadań, niż dni w roku. Pamięć mu nie dopisywała, ale co do szarej księgi wpisał, to znał dobrze i pięknie opowiadał.

Ludzie mają różne zachcianki, zatem i Makaremu zachciało się na stare lata wrażeń z Włoch, z Rzymu. Wybrał się więc w podróż. Codziennie miał jakieś przygody, które wieczorem wpisywał do szarej księgi. Raz napotkał dwóch drabów, którzy przyłożywszy mu do gardła dwa długie noże, zawołali:

— Jeżeli krzykniesz, jesteś trupem!

— Ocho! odrzekł Makary. Bo to prawda? Jeżeli krzyknę, to znak żem żyw. Złodzieje się na to roześmiali i dali mu spokój.

W Rzymie wracał do swej gospody z katakomb. Po drodze zapomniał na nieszczęście ulicę i numer domu. Napotyka atoli jakiegoś wyperfumowanego elegancika i mówi straszną włoszczyzną:

— Wybaczyć... ja... zapomnieć nazwę ulicy

i gospody... zrobić przyjemność i wskazać mi!

— Na której ulicy mieszkaliście?

— Tak! Ulica piękna, bardzo szeroka, długa, w mieście. Po bokach domy a na ulicy ludzie.

— Nie mogę panu poradzić.

— Jakto?... Odmówić takiej informacyi?

— Patrzcie go! Ja nie odmawiam niczego. Tylko potrzebne mi jest jakieś bliższe określenie.

— Pan być trochę nieuczynny...

— Do licha! Idźcie do stu katów! Nie zakłócajcie na ulicy spokoju!

Makary rozpromienił się i rzekł ucieszony:

— Dziękuję! tak jest. Gospoda *stu katów*, ulica *Pokoju*, liczba 13.

W Turynie słyszał dziwy o księdzu Bosko. Możecie sobie wyobrazić, jak się z nim na posłuchaniu rozmówił. Opowiadał o wszystkiem, i o tem, że się nazywa *Nowina* i co ten wyraz polski znaczy. Ksiądz Bosko rzekł:

— Dobrze, *Nowina!*

Ciekawe i dobre „nowiny"
Są zdolne rozpraszać złe miny.

Ty mi się przydasz, *Nowino!* Mam wielu chłopców, którzy się czasem smucą, ja sam często jestem strapiony. Ty nas wtedy będziesz rozweselał.

Nowina został u ks. Bosko, który powziął myśl rozszerzania różnych wiadomości, aby młodzież oderwać od niemoralnych romansów i złych gazet. Czerpiąc z *szarej księgi Nowiny*, wydawał opowiadania, fakciki, nowele bardzo zajmujące, które czytywali jego chłopcy a nawet dorośli.

Ale — umarł ks. Bosko i... znikł gdzieś *Nowina*. Dziwnym trafem *szara księga* przywędrowała pod moją strzechę. Czytuję ją codziennie z wielką przyjemnością i myślę sobie, że i wy chętniebyście czytali te piękne opowiadania. Jeżeli pozwolicie, będę Wam co miesiąc przepisywał po kilka stronic z *szarej księgi Nowiny*. Zgoda? — Zgoda!

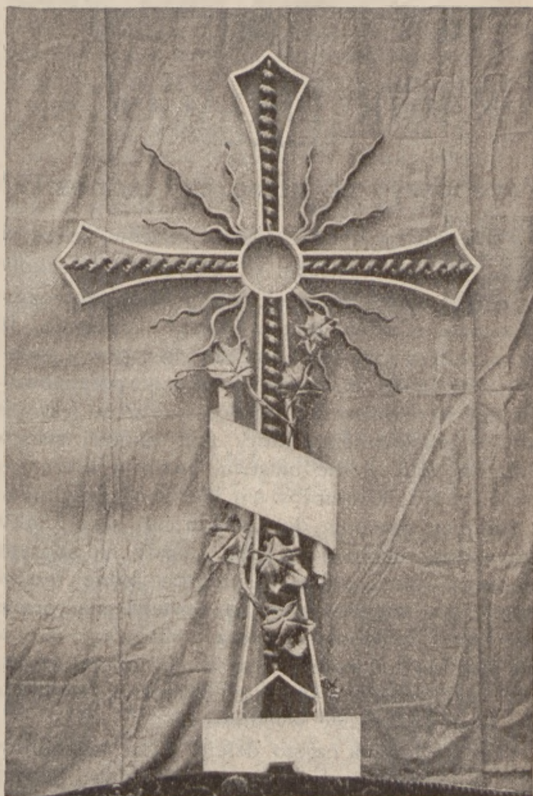
Tą razą podam wam szkic charakteru p. *Nowiny*, abyście się umieli grzecznie z nim obchodzić, gdybyście go kiedy spotkali.

Cierpiał Makary *Nowina* z powodu częstego roztargnienia na słabe zapominanie się. Mówię *słabe*, bo gdy mu kto podpowiedział rzecz zapomnianą, to ją sobie niekiedy zaraz przypominał.

Pewnego dnia niecierpliwi i złości się, że nie znajduje kluczyka od kuferka. W uniesieniu i gniewie na złodzieja uderza o stół pięścią. Dopiero gdy uczuł ból, otworzył rękę i ucieszył się z tego, że się zadrasnął... kluczykiem.

Inną razą zabiera się do czytania świeżego dziennika. Dalej szukać okularów. Szuka, mruczy, hałasuje, tupa nogami, bębni pięścią po stoliku, gościowi swemu każe iść do kaduka, irytuje się i trzęsie tak gwałtownie, że mu aż z nosa spadły... okulary.

Inną znów razą przychodzi go odwiedzić przyjaciel Filip, którego od dawna wyczekiwał. Zastawia



Krzyż żelazny wykonany w ślusarskiej szkole zawodowej XX. Salezyanów w Oświęcimiu.

więc stół, częstuje czem może, wypytuje o ostatnie drobnostki i bawi go prawie przez godzinę. W końcu gość wstaje, żegna się i wychodzi. *Nowina* odprowadza go, dziękuje za odwiedziny, otwiera mu drzwi i... (czy mi uwierzycie?) jakby Filip co dopiero był przybył, wita go, bierze za rękę, prowadzi napowrót do pokoju, podaje krzesło, gości, powtarza te same pytania i z ogromnem zajęciem słucha tych samych wiadomości. Filip się śmieje w duchu, ale siedzi i gada, aby zadowolić przyjaciela. Nazajutrz *Nowina* spotyka Filipa na drodze i woła:

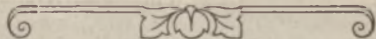
— Dlaczego mnie nie chcesz odwiedzić? Może się gniewasz?

— Jakto? przecież dopiero wczoraj dwie godziny byłem...

— Nie zawracaj mi głowy. Nie oszukasz mnie! Przyjdź kiedy, a zrobisz mi przyjemność

Czy poznalibyście p. *Nowinę?* — Jeżeli go spotkacie, pozdrówcie go ode mnie!!

PRZYJACIELSKI
właściciel *szarej księgi* Makarego *Nowiny*.



KĄCIK PEDAGOGA.

Wychowywać klasę, czy jednostki?

Często słychać skargi rodziców, że dzieci nie wynoszą ze zakładu lub szkoły takiej korzyści, jakiej się słusznie spodziewano. Czyjaż w tem wina? Przyznaję, iż nieraz odporność wychowanka na wpływy pedagogiczne może w znacznej mierze paraliżować zabiegi wychowawcy; lecz często wina jest po stronie przełożonego, który stoi poniżej swego zadania już to z niedbalstwa, już to z nieznajomości zasad, któremiby się kierować powinien.

Chłopcy wstępują do zakładu lub szkoły jako indywidua zupełnie odrębne, każdy ze sporym zasobem wad i zalet, z których jedne trzeba wypleniać, drugie mozolną, ustawiczną pracą rozwijać. Nie wolno tu tworzyć kategoryi, trzeba się brać do jednostek. Nie tresowaniem klasy, lecz kształceniem wszystkich jednostek powinien się zająć prawdziwy wychowawca.

Cóż się jednak często dzieje? Otóż swobodny pseudopedagog wykreśla sobie w duchu pewną linię i tak rozumuje: „Do tej linii, do tego stopnia karności cała moja klasa chcąc nie chcąc dojść musi. Jeżeli się kto z nią już zrównał, tem lepiej; resztę sam choćby za uszy dociągnę. Moja klasa musi być karna, wzorowa! Będę się musiał namęczyć z miesiąc, lub dwa; nie obędzie się oczywiście bez napomnień, krzyków, burd i kułaków (utinam non essent!) — ale powoli swawolny konik przekona się, że to nie żarty, że wobec pana wierzgać nie wolno, lub tylko do pewnej granicy i — stuli uszka i spokojnie pociągnie swój wózek."

A w praktyce? Po niejakim czasie wszystkie te życiem i wesołością kipiące jednostki tworzą jednolite stado pozornie najłagodniejszych baranków. Karność wzorowa, wybryki rzadkie, bo surowy wzrok pedagoga stłumia już najczęściej w samym zarodku wszelką chęć do nich. I dosyć. Na tem kończy się praca wychowawcy. Klasa już karna, wychowana. A czy jednostki są lepsze? O tem on wcale nie myśli.

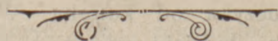
Czy to można nazwać wychowaniem młodzieży? Jak powołanie od prostego rzemiosła, jak sztuka od nędznej partaniny, tak tego rodzaju wychowanie (dziś niestety bardzo rozpowszechnione) różni się od wychowania prawdziwie chrześcijańskiego. Pedagog świadom doniosłości swego powołania, nie zadowala się tą pozorną legalnością, nie wychowuje klasy, lecz indywidua. Wie, że nie można strychulcem wszystkich żyjących istot pod jednę z góry wyznaczoną kreskę zrównać; że nie wystarcza zalepiać rysy pękającego muru, gdy się pod nim fundamenta chwieją; że nie dość podszywać dach, jeśli krokwie zbutwiałe. Jak w naszem ciele różne choroby są często objawem jednej wady naszego organizmu, tak u człowieka wszystkie słabości moralnego sięgają serca. I to serce właśnie wychować trzeba.

Lecz serce młodzieży jakże dziwne, jakże pełne tajemnić! Znajdziesz tam początki występku, ale obok nich napotkasz zawsze delikatną roślinkę szlachetności. Nieraz ona przygłuszona przez chwasty, ale jak ją czujna ręka ogrodnika od nich uwolni i wyswobodzi, to się rozwinie, wyrośnie w bujne drzewko. Najtrudniej właśnie dostać się do tego tajnika, a tu gwałtownymi środkami nic się nie wskóra. Serce ludzkie, a zwłaszcza serce młodzieży, nienawidzi gwałtu: tylko miłości na oścież drzwi otwiera i jej się jak niemowlę wodzić pozwala.

Żeby sobie zaś pozyskać miłość i zaufanie młodzieży, trzeba ją kochać nie jakiemś nieokreślonem uczuciem platonicznem, ale tak, jak matka swe dziecię kocha. Trzeba ją nadto uważać nie za rzecz lub liczbę, ale za istoty żyjące, rozumne, podobne we wszystkiem nam samym. Trzeba się zniżyć aż do ich poziomu, żyć ich życiem, brać udział w ich smutkach i radościach, myśleć o nich we dnie i w nocy, nastawiać ucha na najlżejsze tchnienie ich młodej duszy. Młodzież wnet to spostrzega, iż jest kochana i odpłaca się obficie. To rzecz najważniejsza.

Potem wystarczy już, aby wychowawca z wielkim taktem i cierpliwością wyrywał, plewił, okopywał, podlewał, pielęgnował. Praca to długa, mozolna, wyczerpująca zdrowie i energię, lecz prowadząca do celu. Młodzież jest szlachetna i dla tego, co ją kocha, gotowa jest na największe ofiary.

To jest wychowanie jednostek, nie tresowanie klasy. Zapomocą takiej metody zbierał ksiądz Bosko bogate żniwo.



ŻYWOT
X. biskupa Alojzego Lasagni
Misyonarza Salezyańskiego.

(Ciąg dalszy).

Rozdział XXXVIII.

W chwilach wolnych. — Dzicy w Paraguaju. — Następstwa wojny. — Pragnienie apostolskiego serca. — W Rosario. — Chaco argentyńskie. — Nowoczesna cywilizacya. — Polowanie na Indyan. — Uprzejmość kapitana. — Szczęśliwe spotkanie. — Zielone Świątki. — W Corrientes. — Na rzece Paraguay.

Podczas kongresu eucharystycznego ks. Lasagna korzystał z chwil wolnych, aby prowadzić długie rozmowy z p. Mateuszem Criado, dawnym wychowańcem salezyańskiego kollegium Piusowego, a dziś generalnym konsulem paraguajskim w Monte Video, i w jego towarzystwie złożył wizytę ambasadorowi tejże rzeczypospolitej w Uruguaju. Jednemu i drugiemu przedstawił swoje plany. W podróży swej do Matto Grosso miał sposobność zatrzymać się w mieście Assumption, stolicy Paraguaju, w nadziei doprowadzenia do końca dawno rozpoczętych układów w sprawie założenia w tem mieście zakładu i misyi salezyańskiej. Paraguaj obchodził gorliwego biskupa nie mniej, jak Matto-Grosso; wiedział bowiem dobrze, jak ta biedna rzeczpospolita potrzebuje misyonarzy. Po całym tym kraju krążyły liczne gromady tubylców, żyjących w stanie najzupełniejszego zdziczenia Co chwila spotykało się ich na ulicach stołecznego miasta obdartych, na pół nagich, przedstawiających obraz największej nędzy, sprzedających kosze plecione z palmowych liści, skóry dzikich zwierząt, lub pióra ptasie. Na lewym brzegu rzeki Paraguaju żyły całe plemiona w zupełnem odosobnieniu od reszty mieszkańców, od których różniły się całkowicie obyczajami, religią i językiem. Kapłanami ich byli czarnoksiężnicy, którzy w najważniejszych okolicznościach życia, przy narodzinach, ślubach małżeńskich i pogrzebach odprawiali obrzędy zabobonne i dziwaczne. Naprzeciwko miasta, po drugiej stronie rzeki żyły inne plemiona koczownicze w nędznych a niezliczonych chatkach. Podczas gdy inne rządy Ameryki w nieludzki sposób ścigały uparcie i tępiły ogniem i żelazem biednych Indyan, jak dzikie zwierzęta, w Paraguaju pozwolono im żyć spokojnie na całem terytoryum.

Wiedział także biskup Lasagna, że młodzież klas ucywilizowanych potrzebuje również gwałtownie opieki. Od r. 1864 do 1870 mała ta rzeczpospolita prowadziła własnemi siłami straszną, olbrzymią wojnę przeciw sprzymierzonym państwom Brazylji, Argentynie i Uruguajowi. Mimo bohaterstwa, jakie okazali wszyscy obywatele, nawet kobiety, nieszczęśliwy ten naród uległ w końcu liczbie i gwałtowności najezdców i został zniszczony i starty. Aby mieć pojęcie, w jak dziki sposób była prowadzona ta wojna i jak nieszczęsne sprowadziła skutki, dosyć powiedzieć, że jeszcze obecnie, gdy wyłączymy dzieci, znajdziemy w tym kraju na 400,000 kobiet tylko 40,000 mężczyzn. Oto spustoszenie, jakie zostawiła po sobie wojna i głód! Od nieszczęsnego roku 1870 kraj ten nie zaniedbał żadnych wysiłków, aby się podźwignąć z nędznego stanu, w jaki popadł, i odrodzić się na nowo. Jednakże biskup Lasagna widział gwałtowną potrzebę, by się młode pokolenia kształciły i hartowały w tych cnotach, które tylko religia natchnąć jest zdolna, i w tym celu chciał otworzyć jak najprędzej zakład naukowy dla młodzieży ubogiej i opuszczonej i szkoły rolnicze dla dzieci wiejskich.

Konsul generalny p. Alonso Criado, dawny wychowaniec Salezyanów, był tego samego zdania i twierdził, że niema innego skutecznego sposobu podniesienia i ucywilizowania kraju, tylko wychowanie oparte na silnych religijnych podstawach. W tym celu pisał do kardynała Rampolli, sekretarza Stanu, błagając o pomoc dla swej ukochanej ojczyzny. Kardynał odpowiedział, że z rozkazu Ojca św. zachęci jak najmocniej generalnego przełożonego Salezyanów, aby jak najprędzej założył Misyę w Paraguaju. Teraz zdawało się ks. Lasagni, że zbliża się dzień, w którym życzenia Ojca św. miały się spełnić. Otrzymawszy od p. Criado listy polecające do J. Ekscellencyi V. Lopeza, ministra spraw zagranicznych republiki paraguajskiej, z sercem pełnem otuchy zdążał do tego kraju, który dwa wieki temu uczniowie św. Ignacego swoim trudem, potem i krwią odrodzili byli lecz który popadł był napowrót w barbarzyństwo.

Jednakże przy całem swojem poświęceniu, misyonarz nie posiadał środków koniecznych, by natychmiast przystąpić do dzieła ratowania Paraguaju; to też opłakując stratę tylu dusz, pisał z głębi swego apostolskiego serca te gorące słowa do uczniów seminaryum misyjnego w Turynie: « Młodzi wybrańcy, w których sercu płonie ogień zapału; wy, odważni, którzy czujecie, że Bóg was powołał do wielkich i trudnych prac dla zbawienia ludów i chwały Jezusa Chrystusa, zwróćcie swe oczy w stronę Paraguaju, skierujcie

tu swe kroki! Tu znajdziecie obfite żniwo ofiar i tryumfów, ostrych kolców i niebiańskich pociech. Tu otwiera się nowe pole działania dla odważnego apostolstwa wśród dzikich; otwierają się nowe światy dla aniołów opowiadających słowo Chrystusowe, dla bohaterów Ewangelii. O was także obecne i przyszłe pokolenia śpiewać będą: «*Jak piękne nogi opowiadających dobra, opowiadających pokój!*»

On pierwszy świecił przykładem. Odprowadzony do portu w Monte-Video przez p. Alonso Criado i kilku dyrektorów salezyańskich, wsiadł wieczorem 8. maja 1894 ze swoim sekretarzem na parowiec *Mercedes* i puścił się do Paraguaju. Umówiono się, że inni misyonarze, przeznaczeni do Matto Grosso, połączą się z nim w Assumption. Okręt płynąc dzień i noc po *Rio de la Plata*, który można nazwać morzem słodkiej wody, przebył 273 kilometry; poczem wpłynął na rzekę Parana, która połączywszy się z rzeką Paraguaj, dosięga 10 kilometrów szerokości i toczy taką masę wody, że największe rzeki europejskie są przy niej strumykami. Mimo późnej godziny, gdy okręt przybił do Rosario, w przystani oczekiwał biskupa dyrektor tamtejszego oratoryum salezyańskiego, który błagał koniecznie, by odwiedził braci i dziatwę. Puszczając się w dalszą drogę, w miarę jak się oddalał od Rosario, miał przed oczami coraz piękniejsze i powabniejsze widoki. Najprzód ujrzano na lewo rozległe płaszczyzny Santa Fè, które dzięki umiejętnej pracy tysięcy emigrantów włoskich, wydają setki milionów hektolitrów różnorodnego zboża. Serce misyonarskie ks. Lasagni radowało się z materyalnego powodzenia tych poczciwych ludzi, ale bolało na myśl, że ci robotnicy zbyt często nie troszczą się wcale o pomoc religijną, zbałamuceni przez nikczemnych agitatorów, którzy ich wciągają w zaburzenia i rewolucye. Biedacy! dochodzą do majątku kosztem wiary! Dalej podróżni mieli przykry widok na t. zw. *Chaco* (Czako) argentyńskie; jest to rozległe terytoryum niskie i bagniste, przez znaczną część roku nawiedzane wylewami i prawie niezamieszkane. Teraz zwłaszcza jest całkiem wyludnione, bo dawni gubernatorowie Argentyny wymordowali okrutnie Indyan, którzy się tu schronili. Trzeba wyznać, że tak zwana cywilizacya nowoczesna jest prawdziwie bez litości dla tych biednych istot, które tępi, strzelając do nich jakby dla igraszki! Poczciwy biskup nie potrzebował daleko szukać odnośnych przykładów. Równocześnie z nim przybył do Paraguaju pewien Szwajcar należący do wyprawy osławionego Müllera. Ten ostatni znany był pod smutnym przydomkiem: *Strzelca Indyan;* wszyscy podziwiali celność jego strzałów, bo jego fuzya nigdy nie chybiała, a w samem Chaco argentyńskiem położył trupem przeszło stu nieszczęśliwych Indyan. Smutno opowiadać takie rzeczy; w owych czasach jednak nie sprawiało to w tamtych stronach żadnego przykrego wrażenia. Jakże inaczej jest dzisiaj!

W czasie swej podróży na statku *Mercedes* biskup Lasagna otrzymał wiele cennych wskazówek od kapitana Noceti, który już od lat 40 dowodził okrętem w tych stronach i znał doskonale wszystkie kraje, przez które przepływano. Szczęśliwym też był, że mógł udzielić biskupowi potrzebnych objaśnień i czuwał z wielką pieczołowitością, aby mu niczego nie brakowało w tej przykrej i nużącej podróży. Ułatwił mu odprawianie Mszy św., na której w niedzielę bywali obecni podróżni i większa część załogi statku. Bez trudności także mógł odbywać inne zwykłe praktyki pobożne; ponieważ jednak brakło mu obecności P. Jezusa w Najśw. Sakramencie, więc ilekroć statek zatrzymywał się dla nabrania węgla lub wiktuałów, biskup wysiadał ze swym sekretarzem i, gdy to było możebne, udawał się do kościoła parafialnego.

I tak, gdy parowiec zatrzymał się na parę godzin w pobliżu wsi Diamante, biskup wysiadł na ląd i pośpieszył do skromnej kapliczki miejscowej, by oddać pokłon Panu swemu, ukrytemu na ołtarzu. Podczas gdy zatopiony był w modlitwie, spotkała go miła niespodzianka; powitał go bowiem dawny znajomy ks. Józef Gonzales, którego przed 18tu laty znał jako proboszcza w Las Piedras. Jakże im było przyjemnie powitać się niespodzianie po tylu latach w tych dalekich stronach!

Z Diamante ks. Lasagna uwiadowił telegraficznie o swem przybyciu biskupa Parany, z którym już długi czas utrzymywał listowne stosunki. Dyecezya jego, obejmująca trzy prowincye: *Entre Rios*, *Corrientes* i *Missiones*, jest tak rozległa, że gorliwy Pasterz nie mógł jej nawet całej objechać.

Tymczasem statek *Mercedes* przybił do lądu w Paranie wśród nocy. Było to w uroczystość Zesłania Ducha św., tak że nasz misyonarz, którego długie godziny oczekiwał naprożno na wybrzeżu Wikaryusz Generalny, by go powitać w imieniu Biskupa, nie mógł nawet wysiąść na ląd. W swoim *dzienniku* zapisuje, że aby ten dzień święty przepędzić w większem skupieniu, odprawił Mszę św. w swej kabinie Przypomniał sobie, jak to przed rokiem celebrował pontyfikalnie w Montevideo — i miał dwie nauki do tercyarzy św. Franciszka. Dzisaj, nie mając sposobności pracowania dla dobradusz, chciał przynajmniej skupić się w sobie i zastanowić nad obfitością łask, jakie Duch św. zlał na niego w dniu jego konsekracyi biskupiej, oraz pilnie obliczyć, czy godnie tej łasce odpowiedział, rozważając te straszne słowa Pana naszego: „Od każdego, któremu wiele dano, wiele żądać będą: a któremu wiele zlecono, tem więcej będą chcieć od niego."

(Ciąg dalszy nastąpi).





ZMARLI POMOCNICY.

Ziemie Polskie.

Baścik Michał, — Nowa wieś, *Galicya*.
Bujar Jadwiga, — Lendziny, *Górny Śląsk*.
Burczyk Albert, — Miechowice, *Górny Śląsk*.
Czajkowski Tomasz, nauczyciel, — Budków, *Galicya*.
X. Czerwiński Michał, — Jordanów, *Galicya*.
Flisikowski Wojciech, — Ramlej, *Prusy Zachodnie*.
Formella Józefina. — Pomieczyn, *Prusy Zachodnie*.
Franki Józef, — Janków, *Wielkie Ks. Poznańskie*.
Hadasik Józef, — Januszkowice, *Górny Śląsk*.
Jankowska Maryanna, — Grębowo, *Wielkie Ks. Poznańskie*.
Kalina Dr. Antoni, prof. Uniw., — Lwów, *Galicya*.
X. Kamieński Ignacy, — Poznań.
Kamiński Jan, nauczyciel, — Brzozów, *Galicya*.
Kluba Marya, — Zandowice, *Górny Śląsk*.
Kołodziński Józef, — Wonno, *Prusy Zachodnie*.
Kowal Piotr, — Ks. Nowawieś, *Górny Śląsk*.
Krawiec Jan, — Kelcz, » »
Kurceba Jan, — Hutar, *Galicya*.
Laiman Jakób, — Polska wieś, *Wielkie Ks. Poznańskie*.
Lubińska Józefa, — Ulanów, *Galicya*.
Melerska Maryanna, — Mlewo, *Prusy Zachodnie*.
Mrochen Albert, — Ks. Nowawieś, *Górny Śląsk*.
Niczko Józef, — Szarlej, *Górny Śląsk*.
Nowicki Stanisław, — Śrem, *Wielkie Ks. Poznańskie*.
Oczkowski Jan, — Chrzanów, *Galicya*.
Orliński Franciszek, — Król. Huta, *Górny Śląsk*.
Palacz Michalina, — Modrze, *Wielkie Ks. Poznańskie*.
Penkowska Anna, — Przechowo, *Prusy Zachodnie*.
Piecha Wincenty, — Król. Huta, *Górny Śląsk*.
Pierzyna Józef, — Laurahuta, » »
Pilat Dr. Roman, prof. Uniw., — Lwów, *Galicya*.
Placek Marya, — Wodzisław, *Górny Śląsk*.
Potrykus Brygida, — Neukrug, *Prusy Zachodnie*.
Pytlik Franciszek, — Brzozowice, *Górny Śląsk*.
Rejczak Michał, — Gołąbkowice, *Galicya*.
Rejczak Michał, — Hapting, *Stany Zjednoczone*.
Rzeszutko Rozalia, — Osielec, *Galicya*.
Schwichtemberg Katarzyna, — Ostryckie Pustki, *Prusy Zachodnie*.
Skibicka Anna, — Lipnik, *Prusy Zachodnie*.
Sodalska Katarzyna, — *Poznań*.
Sopel Jan, — Glinik Maryampolski, *Galicya*.
Sośnik Jan, — Żelazna, *Górny Śląsk*.
» Mateusz, » » »
Sroka Salomea, — Lisia góra, *Galicya*.
Stachurski Antoni, — Nadwórna, *Galicya*.
Stolarczyk Katarzyna, — Kuczów, *Górny Śląsk*.
Styza Wojciech, — Odolanów, *Wielkie Ks. Poznańskie*.
Szalczewski Jan, — Jeżewice, *Prusy Zachodnie*.
Szczerba Feliks, — Zagórzyn, *Galicya*.
Szczyrbowska Maryanna, — Jawiszowice, *Galicya*.
Szenic Stefan, — Pniewy, *Wielkie Ks. Poznańskie*.
Szreier Jan, — Recice, *Górny Śląsk*.
Szumański Franciszek, — Lutynka, *Galicya*.
Szyszkowska Paulina, — Sokółka, *Królestwo Polskie*.
Tempska Joanna, — Copoty, *Prusy Zachodnie*.
Tomas Emanuel, — Dolne Rydułtowy, *Górny Śląsk*.
Tylla Piotr, — Koczanowice, *Górny Śląsk*.
Walas Wojciech, — Dobczyce, *Galicya*.
Walora Stanisław, — Leńcze, »
Wensora Józefa, — Goręczyn, *Prusy Zachodnie*.
Wierzbicka Teofila, — Lwów, *Galicya*.
X. Witkowski Maryan, — Szczurowice, *Galicya*.
Wodzińska Katarzyna, — Bobrek, *Galicya*.
Wojciechowska Julia, — Lipnica murowana, *Galicya*.
X. Wojdak Wiktor, — Lwów, *Galicya*.
Zogała Franciszek, — Tychy, *Górny Śląsk*.

Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków! Amen.

SPIS RZECZY

zawartych w roczniku X „Wiadomości Salezyańskich“

1906.

Do naszych Czytelników.

Artykuły wstępne.

Sprawy salezyańskie.

Opisy i artykuły różnej treści.

Nabożeństwo do Wspomożycielki Wiernych.

Łaski Najśw. Maryi Panny Wsp. Wiernych.

Wiadomości misyjne.

Rozmaitości.

Wiadomości potoczne.

Nekrolog.

Za pozwoleniem władzy duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: Józef Gambino.
Drukarnia salezyańska. (B. S.) — Turyn, 1906.
Wydawca i odpowiedzialny redaktor na Austro-Węgry: G. B. Monauni. (Trento-Austria).

6. Każdy Pomocnik wedle danych okoliczności może każdego czasu przedstawić głównemu Przełożonemu to wszystko, co uważa za stosowne.

7. Co trzy miesiące albo jeszcze częściej zdawać się będzie Pomocnikom, czy to za pomocą biuletynu czy też innego pisma, sprawę z tego wszystkiego, co nam przedłożono, co już zrobiono i co do zrobienia pozostaje. Pod koniec zaś każdego roku przedłoży się stowarzyszonym spis spraw, któremi w roku następnym najwłaściwiejby się zająć wypadało. Poda się również wykaz zmarłych członków Związku, polecając ich dusze wspólnym modlitwom.

8. W dzień św. Franciszka Salezego i w święto Matki Boskiej Wspomożenia każdy dyrektor albo też dekuryon zbierze swoich Pomocników, ażeby się wzajemnie pobudzać do nabożeństwa ku tym niebieskim Opiekonom, by wyprosić sobie ich pomoc ku wytrwaniu w dalszej pracy w duchu Związku.

VI.

Obowiązki.

1. Członkowie Zgromadzenia Salezyańskiego uważają wszystkich Pomocników za swoich braci w Chrystusie i udają się do nich wprost, ile razy ich pomoc może być użyteczną ku większej chwale Bożej i korzyści dusz ludzkich. Pomocnicy znowu, ilekroć tego zajdzie potrzeba, z podobnem zaufaniem zwracać się będą do członków Zgromadzenia Salezyańskiego.

2. Stąd wszyscy związkowi jako synowie jednego Ojca niebieskiego a bracia w Chrystusie Panu, uczynią co tylko będzie w ich możności, aby wspierać i podtrzymywać zakłady Zgromadzenia bądź własnym datkiem, bądź jałmużną zebraną u osób dobroczynnych.

3. Pomocnicy nie mają żadnych stałych zobowiązań pieniężnych, lecz bądź miesięcznie, bądź rocznie taką ofiarują jałmużnę, jaką im wskaże ich litościwe serce. Datki te wysyłać się będą na ręce Przełożonego dla podtrzymywania spraw i zakładów Zgromadzenia.

4. Corocznie odbędą się przynajmniej dwa zebrania: jedno w święto Matki Boskiej Wspomożenia, drugie w święto św. Franciszka Salezego. Na każdem z nich odbędzie się składka w sposób jak wyżej powiedziano (nr. 3). Tam zaś gdzieby Pomocnicy nie mogli stanowić *dekuryi*, lub gdyby w razie jakiejś przeszkody kto nie mógł przybyć na zebranie, wtedy prześlą swój datek drogą dla nich najdogodniejszą a pewną.

VII.

Korzyści duchowne.

1. Ojciec święty Pius IX dekretem z dnia 30. lipca 1875 rozciągnął na Dobrodziejów Zgromadzenia Salezyańskiego i na jego Pomocników wszystkie łaski duchowne i odpusty nadane zakonnikom salezyańskim, z wyjątkiem tych, które się odnoszą do życia wspólnego.

2. Będą więc mieć udział we wszystkich Mszach św., modlitwach, nowennach, tryduach, ćwiczeniach duchownych, kazaniach, katechi-

---

wybitny członek duchowieństwa, a w razie gdyby się tenże nie mógł zająć tem dziełem dobroczynnem, może, w porozumieniu z Przełożonym, być wybrany jaki kapłan, który go będzie zastępował, przybierając nazwę Wice-dyrektora. Ojciec św. Pius IX. raczył udzielić szczególnych przywilejów duchownych Dyrektorom dyecezyalnym naszych Pomocników.

W główniejszych wioskach i miastach dyecezyi można wybrać osobę, któraby pomagała Dyrektorowi; zostaje ona wybrana przez Przełożonego, na życzenie Dyrektora dyecezyalnego. W tych zaś miejscach, gdzie stowarzyszeni nie znajdują się w potrzebnej liczbie, Przełożony powierzy to dzieło jakiemu *zelatorowi* albo *zelatorce*, który to tytuł noszą również inni z naszych przezacnych Pomocników i Pomocnic.

zacyach, jednem słowem we wszystkich zasługach, jakie sobie zakonnicy salezyańscy w służbie Bożej po całym świecie zaskarbią.

3. Będą również uczestnikami we Mszy św. i modlitwach, jakie codziennie się odprawiają w kościele Matki Boskiej Wspomożenia w Turynie i po wszystkich zakładach salezyańskich za Dobrodziejów i ich rodziny, mianowicie zaś za tych, którzy bądź moralnie bądź materyalnie wspierają Zgromadzenie Salezyańskie.

4. Nazajutrz po święcie św. Franciszka Salezego wszyscy kapłani-Salezyanie i ich Pomocnicy-kapłani odprawią Mszę św. za zmarłych współbraci. Pomocnicy, którzy nie są kapłanami, przystąpią do Komunii św. i zmówią trzecią część różańca.

5. Jeżeli który ze współbraci zachoruje, należy o tem natychmiast zawiadomić Przełożonego, który zaraz zarządzi osobne modły za niego. To samo w razie śmierci którego z Pomocników.

VIII.

Praktyki religijne.

1. Pomocnikom salezyańskim nie przepisuje się żadnych praktyk zewnętrznych. Atoli żeby życie ich choć cokolwiek zbliżyć do tego, jakie się wiedzie w zakonie, zaleca się im skromność w ubiorach, wstrzemięźliwość w jedzeniu i piciu, prostotę w urządzeniu domu, powściągliwość w mowie, ścisłe wypełnianie obowiązków swego stanu i czuwanie nad tem, ażeby ich słudzy i domownicy dokładnie święcili niedziele i święta kościelne.

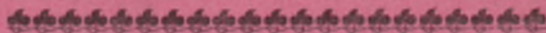
2. Poleca się im, ażeby corocznie przynajmniej przez kilka dni odbywali ćwiczenia duchowne. Każdy ostatni dzień miesiąca albo inny jaki dzień dogodny poświęcą na przygotowanie się na śmierć, spowiadając się i komunikując, jakby to rzeczywiście był ostatni dzień ich życia. Tak po odbyciu ćwiczeń duchownych jak w dniu, w którym się przygotowali na śmierć, dostępują *odpustu zupełnego.*

3. Każdy Pomocnik zmówi codziennie *Ojcze nasz* i *Zdrowaś* do św. Franciszka Salezego na intencyę Ojca św. Kapłani i wszyscy ci, którzy odmawiają pacierze kapłańskie albo oficyum do Matki Boskiej, zwolnieni są od tych modlitw. Dla nich wystarczy dołączyć tę intencyę przy odmawianiu pacierzy (1).

4. Zaleca się im częste przystępowanie do Sakramentów Pokuty i Ołtarza, tem więcej, że za każdym razem dostąpić mogą odpustu zupełnego.

5. Odpusty te, czy to zupełne, czy też cząstkowe, ofiarować można za dusze w czyścu cierpiące, z wyjątkiem odpustu w godzinę śmierci, który wyłącznie przywiązany jest do osoby, a dostąpić go można tylko w chwili, kiedy dusza odłącza się od ciała i przechodzi do wieczności.

(Ciąg dalszy nastąpi).



UWAGA.

Jakkolwiek się gorąco zaleca dokładne wypełnianie tych przepisów dla rozlicznych korzyści duchownych, jakie każdy może z nich odnieść, to jednak, aby nie dawać powodu do skrupułów i niepokojów sumienia, oświadczamy, że zachowywanie tych Ustaw nie obowiązuje pod karą grzechu ani śmiertelnego ani powszedniego, z wyjątkiem takich wypadków, kiedy to skądinąd jest nakazane albo wzbronione przez przykazania Boże lub kościelne.

---

(1) To się odnosi do zachowywania ustaw. Dla dostąpienia jednakże odpustów jest potrzebne, ażeby wszyscy odmówili codziennie *Ojcze nasz*, *Zdrowaś* i *Chwała Ojcu* na intencyę Ojca św., z westchnieniem «*Św. Franciszku Salezy, módl się za nami*» (Zob. Dekret z dnia 2. października 1904, str. 31).